POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 18-go sierpnia 1945r.*** — **Rok VII. Nr. 33**

ZWROT W DZIEJACH ŚWIATA

Upowszechnia się na Zachodzie przekonanie, że dnia 6 sierpnia bieżącego roku zaczęła się nowa epoka.

Dwie bomby atomowe w odstępie trzydniowym ugodziły w Japonię. Zniosły dwa miasta — Hiroszima i Nagasaki. Ale to wystarczyło, by runęła potęga wojenna Japonii — jeszcze poważna na jej macierzystych wyspach i azjatyckim lądzie, a wielo-milionowe japońskie siły zbrojne, bezsilne wobec potęgi, niosącej zagładę ich narodowi, musiały zaniechać dalszej walki.

Te oczywiste fakty dają miarę ogromu wydarzenia. Ale tylko na obecną chwilę. Już druga bomba atomowa bowiem potęgą działania przewyższyła znacznie pierwszą. Przygotowywano podobno dalsze, wielokrotnie jeszcze potężniejsze. Są to bomby zrzucane z samolotów. Ale wiemy o zamierzeniach niemieckich zastosowania energii atomowej w pociskach rakietowych i wiemy, że przygotowania posunięte były daleko. Jesteśmy u kolebki procesu rozwojowego, wiodącego w nieznane.

To, co zastosowano dzisiaj, u kresu drugiej wojny światowej, wystarczyło, by raptownie zakończyć wojnę. Trudno myślą ogarnąć wszystkie następstwa tego zjawiska w dziedzinie wojny i sztuki wojennej. Jeśli wojna jest aktem siły, zmierzającym do narzucenia woli własnej przeciwnikowi, to strona, wyłącznie rozporządzająca bombą atomową, będzie mogła bez właściwego aktu siły dyktować swą wolę stronie, która bomb atomowych nie posiada. Inaczej, jeśli bomby takie będą po obu stronach; wtedy strona zaczepna będzie mieć szanse powalenia przeciwnika od pierwszego zamachu, ale ryzykuje zarazem własną, raptowną zagładę.

Celem wojen bywało zwykle owładnięcie pewnych przestrzeni lub przeciwstawienie się ich zaborowi. Ale cóż ze zdobycia "Lebensraumu", na którym wszelkie życie unicestwione? Tyle co z kawałka księżyca.

Wszystkie pojęcia i zasady strategii stały się względne. Pojęcia granic strategicznych, obszarów bezpieczeństwa, podstaw operacyjnych, baz, kluczy strategicznych i t.p. wymagają rewizji. Wszystko, co miało zapewnić obronę przeciw działaniom od lądu, morza czy powietrza nagle zredukowało się co do wartości. Jeszcze utrzymuje się wartość ochronna wielkich, bardzo wielkich przestrzeni, ale przestrzeń w tej wojnie skurczyła się bardzo, a zastosowanie energii atomowej do napędu samolotów i pocisków może zredukować ją niebawem niepomiernie.

Czy zatem wojna zabiła wojnę, czyniąc ją samobójczym szaleństwem? Odpowiedź da historia lat, które przyjdą.

To, co się stało dnia 6 sierpnia przejmuje pewnym dreszczem wszystkich myślących ludzi. Troska i zaduma nad przyszłością przebijała się w słowach anglosaskich mężów stanu, tych samych, którzy postanowili wyzyskać w tej wojnie niszczącą energię, wyzwoloną z rozbicia atomów.

Człowiek zdołał dotrzeć do prażródeł energii. Zdołał rozłożyć to, co wydawało się cząstką materii niepodzielną. Rozłożył atom na jego elementy składowe, a w końcu rozszczepił jądro atomu. Przez unicestwienie zalążków materii wywołał "łańcuchowe" procesy, wyzwalające jak lawina niesłychane ilości energii. Zdołał procesy te opanować, ograniczyć i pokierować nimi tak, by stały się straszliwym narzędziem wojennego zniszczenia, bez wywoływania powszechnego rozsadzenia materii globu. Był to triumf geniuszu ludzkiego, połączony jednak z grozą śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ludzkość stanęła oko w oko z widmem zagłady. Otwarły się przed nią możliwości użycia dla jej dobra niezmiernych ilości energii, dających się tą drogą wyzwolić. A zarazem namacalnie niemal zetknęła się ze zjawiskiem, którego upowszechnienie oznaczałoby to, co nazywa się końcem świata.

W tej chwili energia atomowa stanowi tylko potęgę niszczącą. Trzeba będzie lat, by wprzęgnąć ją w służbę jako potęgę twórczą. Tajemnica jej wyzwalania, a zwłaszcza jej użycia jest dziś własnością dwóch potęg anglosaskich, strzeżoną z pełną świadomością wynikających stąd możliwości i z wysokim poczuciem odpowiedzialności za dalsze losy tej sprawy.

Słusznie podnosi prasa, że obecny monopol Anglosasów w sprawie użycia energii atomowej oznacza radykalne przesunięcie się w układzie sił na widowni międzynarodowej. Ameryka i Wielka Brytania, jeśli będą w dążeniach jednomyślne i stanowcze w realizacji, mogą panować nad sytuacją światową.

Jest to szczęśliwym dla ludzkości zdarzeniem, że groźnego odkrycia dokonali właśnie uczeni anglosascy, pod kontrolą rządów, ożywionych duchem wolności i troską o pokój świata. Zdarzenie to nie przypadkowe. W wyścigu twórczym intelektów zwyciężyć musiała strona, po której jest swoboda myśli i szeroko otwarte pole inicjatywie twórczej.

W przededniu tej wojny nieodżałowany Ryszard Świętochowski /zgasły w niemieckim więzieniu/ pisał w tygodniku "Zwrot": "Totalizmy mogą wygrywać bitwy i kampanie, ale demokracje wygrywają wojny". A myślał nie tylko o potędze materialnej demokracji zachodnich, lecz także i przede wszystkim o przewadze duchowej. Wojnę tę kończą one istotnie triumfem myśli, władzy geniusza ludzkiego.

Na jak długo mają zapewnioną tę potężną przewagę nad resztą świata? Ktoś pisał o trzech latach, w ciągu których tak trzeba ufundować przyszłość świata, by groźbę wojny usunąć na zawsze.

Nadludzkie to zadanie i do rozwiązania go mechaniczne środki nie wystarczą. Prawda, że wojna stała się samobójczym szaleństwem. Wyobraźmy sobie jednak, że — jak ostrzegał marszałek Smuts — jakieś państwo opanowane żądzą zaborów i władania światowego oszaleje? Wyobraźmy sobie, że jakiś naród, niewolny i cierpiący, popadnie w szaleństwo rozpaczy?

Są w Paryżu, w "*Musée Carnavalet*" druki jakobińskie z czasu Wielkiej Rewolucji z paradną dewizą: "Wolność, Równość, Braterstwo — albo śmierć". Wspominamy je w tej chwili bez uśmiechu. Przed ludzkością stoi pytanie: "Wolność, równość, braterstwo narodów — albo śmierć".

Jeśli wysiłkiem Ameryki i Wielkiej Brytanii, popartym przez wszystkie wolność miłujące narody, stworzone będą fundamenty pokoju, opartego na prawdziwej wolności i braterstwie narodów, okaże się, że dzień 6 sierpnia był triumfem ducha nad materią, zwycięstwem ludzkości. Wedle Mickiewicza "dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło stworzenia".

Przypominają się wiersze Słowackiego:

"Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie
I nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch
Wieczny rewolucjonista —
Pod męką ciał leżący duch".

Ale przypominają się również ostatnie wiersze Mickiewiczowskiej "Reduty Ordona":

"Kiedy ziemię despotyzm i pycha szalona
Zaleją . . .
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę".

U progu nowej epoki swoich dziejów ludzkość stoi może wobec pytania "być albo nie być". A dzieje toczą się teraz szybko. Nie tylko przestrzeń zmalała. Czas się skrócił. Z zawrotną szybkością pędzi historia.

MARIAN KUKIEL

WIECZNE POWOŁANIE

Kiedy przed rokiem wspominaliśmy na tym miejscu dzień Święta Żołnierza, zastanawialiśmy się, czy już jest wolna kolumnada Pałacu Saskiego z grobem Nieznanego Żołnierza i czy powstańcy warszawscy mogli już przed nią zaciągnąć wartę. Wyrok losów nie dał nam w powstaniu warszawskim zwycięstwa. Tak różnorakie weszły w grę względy, że bohaterską walkę stolicy możni tego świata pozostawili samą sobie. Pamiętamy o tym i nigdy nie zapomnimy. W ocenie naszej całego przebiegu wojny światowej 1939 — 1945 *roku moment to najboleśniejszy i najdobitniejszy.*

Dziś moment ten uwypuklił się i nabrał wyrazistości. Bez względu na hasła głoszone i zaprzysięgane, siła objęła władztwo nad światem. Ten stan rzeczy dotknął nie tylko nas, ale i inne tak zwane "małe" narody. Ponieważ jednak rozwój potęgi ludzkiej, zawartej w coraz to nowych wynalazkach, pozacierał granice, pozmniejszał przestrzenie i narzucił całej ludzkości przymusową solidarność, przeto ten stan rzeczy w równym stopniu dotyka też sprawców obecnego położenia — wielkie mocarstwa. Czy chcą czy nie chcą, poniosą odpowiedzialność za linię swojej polityki. Widzimy punkt wyjścia tej linii, ale przy najżywszej wyobraźni nie możemy przewidzieć, gdzie się linia skończy.

Tymczasem jednak, w ocenie jednorocznej, widzimy, jak bolesne ponieśliśmy straty. Straty te — to nie tylko odebrane nam ziemie, część kolebki narodu z jego najświętszymi pamiątkami. To również przymus, zadany naszej woli narodowej, to wytrącenie jej z kierunku historycznego, w jakim kroczyła. To unicestwienie Polski jagiellońskiej, współmacierzy wolnych ludów Europy środkowo-wschodniej, i przymusowe przeszuflowanie ku zachodowi, na ziemie, które ciężkim trudem na nowo spolszczać wypadnie. W niwecz obrócono dzieło Jagiellonów, Władysława i Zygmunta. Rzucono nam przed oczy majak Polski Chrobrego, ale nic nie uczyniono, aby rozwój w tym kierunku zapewnić.

Uzależniono nas od obcej i niezgodnej z naszą — woli. Kazano nam na słowo wierzyć w jej dla nas życzliwość. Potraktowano nas, naród żołnierski, naród ponad wszystkie walczący, jak poważnione dzieci. Rodzima Targowica, której nie było tak długo wśród nas i z czego czerpaliśmy słuszną chlubę, powstała, podniosła do góry miedziane czoło i hula. Doczeka się i ona sprawiedliwego wyroku historii, ale tymczasem traktuje ojczyznę, jak ów przysłowiowy postaw czerwonego sukna, aby sobie zeń wykroić jak najozdobniejsze szaty. Teraz już, wśród czołobitnych pokłonów w kierunku najjaśniejszego gwaranta; "wielkiego" — jak któryś z tych bezwstydników napisał — "budowniczego nowej Polski", krzewi się myśl, że nie mamy sobie sami zapewniać naszego bezpieczeństwa, lecz zdać się na dyskrecję ościennej potęgi.

Nie wiadomo, czy bomba atomowa, której wybuch w proch obraca miasta istotnie będzie dobroczynnym punktem zwrotnym w dziejach wiecznie skłóconej ludzkości. Czy dowiedzie absurdu zbrojnych rozstrzygnięć, rozstrzygnięć siłą, i zamieni swą moc niszczącą w moc tworzącą, napędową moralnie i materialnie. Znów trzeba by wierzyć na słowo, a na taką wiarę nas nie stać. Zbyt drogo za nią zapłaciliśmy i płacimy.

Zanim więc na miejsce zła przyjdzie to dobro, któregośmy jeszcze my właśnie wcale nie doświadczyli, powiedzmy sobie w dniu Święta Żołnierza, że nic nie zdjęło z nas obowiązku żołnierskiej służby dla Polski. Służyć jej musimy dalej, całkowicie, orężnie czy bezorężnie, zależnie od okoliczności, ale zawsze z bezgraniczną ofiarnością i całym oddaniem.

Jest to nie tylko nakaz naszej wielkości narodowej, ale nakaz naszego narodowego istnienia. Choćby obce i wrogie moce nie dały wznieść ze zwalisk grobu Nieznanego Żołnierza, zew potężny idzie z ziemi naszej, obróconej w olbrzymie cmentarzysko. Zew, który nas i przyszłe pokolenia Polaków ze "zjadaczy chleba", jakimi by nas widzieć chciano, obróci w świadomych żołnierzy.

Na tak długo, jak długo Polska naszego ramienia i naszego oręża potrzebować będzie.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

SMUTKU NASZ PUSTY . . .

Smutku nasz pusty, martwy wiewie,
Co ci tu ulży, co ukoi?
Szukam jesionów, tu nikt nie wie,
Że przy ulicy rosły mojej.

I szukam też panieńskiej brzozy
Powabu włosów i kibici.
Nie zwiędnie nawet w czasach grozy
To, czym się szczęście raz nasyci.

Nie wyschnie rosa i kropliście
Potrafi spaść jakiegoś ranka
Albo pod wieczór wróci w liście
Wiatr dawny, łąki, macierzanka.

Wtedy w podmuchu, w zwykłym wiewie
Budzi się coś, jak ogień w głowie,
Czego ja szukam, nikt tu nie wie,
Com stracił, nikt się też nie dowie.

Tylko mgła w oczach wtedy stoi
Ze śmiertelnego szyta płótna,
Mgła — szczęście, oddech ziemi mojej,
i miłość wszystka, absolutna.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Przegląd tygodniowy

NA PRZEŁOMIE DWU EPOK

Prawdopodobnie nie było w historii tygodnia, któryby w takim stopniu, co tydzień zapoczątkowany zrzuceniem bomby atomowej na Hiroszimę, zmienił oblicze świata. Wydarzenia następowały po sobie z szybkością zatykającą dech w piersiach. Po bombie atomowej — nagłe, noszące wszelkie cechy niebywałego pośpiechu wypowiedzenie konającej Japonii wojny przez Rosję. Następnie druga bomba atomowa, znacznie potężniejsza, niż pierwsza. Przemówienie prez. Trumana ujawniające, że Stany Zjednoczone i W. Brytania postanowiły nie dzielić się z Rosją tajemnicą bomby. Wreszcie kapitulacja Japonii.

Wojna jest skończona. Więcej, cykl wojen zapoczątkowany w r. 1931 atakiem japońskim na Mandżurię, kończy się w tejże samej Mandżurii. Sięgając jeszcze nieco dalej w przeszłość można by powiedzieć, że dobiega końca wojna trzydziestojednoletnia, rozpoczęta w sierpniu 1914, skończona w sierpniu 1945.

Wojna jest skończona. A jednak ogromnemu uczuciu ulgi towarzyszy wszędzie głębokie, nieodparte uczucie trwogi. Świat zadaje sobie pytanie, czy pokój, który się zaczyna, nie jest tylko krótkim zawieszeniem broni przed nowym starciem, które tym razem, w erze "atomowej" oznaczać może koniec wszelkiej cywilizacji — jakieś zbiorowe samobójstwo rodzaju ludzkiego.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że wkroczyliśmy w nową epokę. Wszelkie dotychczasowe, formy współżycia narodów, poglądy na politykę i strategię są przestarzałe. Jeszcze oczywiście operujemy wczorajszymi pojęciami; jeszcze rozumujemy na podstawie przesłanek poprzedniej epoki, nie mogąc odrazu uświadomić sobie konieczności ich całkowitej rewizji. Ale z każdym dniem będziemy się przekonywali, że do wszystkich zagadnień podejść trzeba na nowo uwzględniając rewolucyjną przemianę, która nastąpiła.

Nie sposób jeszcze oczywiście przewidzieć wszystkich skutków ostatnich wydarzeń. Niemniej już dziś można wyciągnąć pewne wnioski. Koniec wojny, czynne wystąpienie Rosji na Dalekim Wschodzie i ponad wszystko bomba atomowa oraz związane z nią decyzje polityczne, mieć powinny m.in. następujące następstwa:

ZMIANY W UKŁADZIE SIŁ

1. Zmienia się całkowicie układ sił w świecie. Wszystkie dotychczasowe koncepcje oparte na przewadze potencjału wojennego kilku wielkich mocarstw są przekreślone. Różnica w potędze pomiędzy dwoma wielkimi mocarstwami, z których jedno ma bombę atomową, a drugie jej nie ma, jest znacznie większa, aniżeli pomiędzy wielkim mocarstwem, potężnie uzbrojonym, ale nieposiadającym bomby a jego małym, nieuzbrojonym sąsiadem.

Posiadanie wielkich armii i flot przestaje mieć decydujące znaczenie.

2. Dwie główne przyczyny, dla których do tej pory uprawiana była polityka t.zw. *appeasement'u*, czyli polityka jednostronnych ustępstw na rzecz Rosji, obecnie odpadły.

Jedną z nich była chęć Ameryki, aby zyskać pomoc rosyjską przeciw Japonii. Wtedy gdy zanosiło się na to, że trzeba będzie dokonać inwazji Japonii i ponadto groziło, że nawet w razie jej zdobycia duże siły japońskie bronić się będą na kontynencie azjatyckim, udział Rosji mógł zaoszczędzić setki tysięcy żyć amerykańskich. Teraz ten motyw odpadł. Rosja przystąpiła do wojny w momencie, gdy ta była już wygrana. Jej udział nie dał Ameryce nic. Niektórzy wprawdzie twierdzą, że bez interwencji rosyjskiej kapitulacja japońska mogłaby się ograniczyć do samych wysp japońskich, nie obejmując wojsk w Mandżurii, czy Chinach. Ale jest to teza bardzo naciągana. Sojusznicy po prostu nie przyjęliby częściowej kapitulacji i groźba dalszych bomb atomowych szybko spowodowałaby całkowite poddanie się. Nie było by trzeba z pewnością rzucać bomb atomowych na miasta chińskie.

Drugą przyczyną polityki ustępstw była przewaga militarna Rosji na kontynencie europejskim. Dziś fakt, że Rosja ma tyle. a tyle dywizji przestaje odgrywać poprzednią rolę.

MONOPOL, ALE NA JAK DŁUGO?

3. W następstwie monopolu amerykańsko-brytyjskiego i decyzji zachowania chwilowo tego monopolu oraz odmowy podzielenia się tajemnicą z Rosją, przedział pomiędzy blokiem anglosaskim, a Rosją gwałtownie się zwiększył. Do tej pory ciągle się mówiło w Ameryce o roli St. Zjednoczonych jako "pośrednika" pomiędzy Rosją, a W. Brytanią, podczas gdy Brytyjczycy sądzili, że mogą odegrać tę samą rolę pomiędzy kapitalistyczną Ameryką, a komunistyczną Rosją. Teraz natomiast oba mocarstwa anglosaskie są ze sobą związane na śmierć i życie przez tajemnicę, której zazdrośnie strzegą. Zmuszone są do prowadzenia wspólnej polityki. Rozwiewają się długotrwałe nadzieje na rozdzielenie obu mocarstw.

Oczywiście jednak tajemnica bomby atomowej nie da się długo utrzymać. Jest rzeczą nieuniknioną, że Rosja i inne państwa również ją wykryją. Może to nastąpić za rok, dwa, trzy. W międzyczasie pogłębiłaby się nieufność w świecie, tak iż przyszłość zapowiadałaby się groźnie. Posiadanie bomby atomowej przez kilka suwerennych państw dawałoby przewagę państwu pozbawionemu skrupułów, decydującemu się na zaskoczenie przeciwnika.

Niektórzy twierdzą, że gdyby wszystkie wielkie mocarstwa, a także inne państwa posiadały bombę, to wojna byłaby między nimi niemożliwa. Niestety nie ma żadnej pewności, że tak by było. Napastnik zawsze liczy na to, że zaskoczy przeciwnika i wygra, zanim ten będzie mógł zareagować tą samą bronią. Pół tuzina bomb atomowych zrzuconych n.p. na W. Brytanię mogłoby ją zmusić do natychmiastowej kapitulacji . . .

JEDYNA DROGA DO POKOJU

4. W rezultacie jedyną drogą do uchronienia świata przed zagładą jest stworzenie międzynarodowego systemu kontroli. Powinnaby powstać jakaś strefa międzynarodowa na terenie St. Zjednoczonych pod auspicjami prawdziwej organizacji międzynarodowej, gdzie skoncentrowana byłaby produkcja nowej broni. Wszędzie gdzieindziej produkcja bomb atomowych byłaby zakazana. Oczywiście wszystkie kraje musiałyby stać otworem dla kontroli międzynarodowej. Nie do pomyślenia jest, by w dalszym ciągu jakiekolwiek państwo oddzielało się murem chińskim od reszty świata, któraby nie wiedziała, co się tam dzieje.

Istnieją wskazówki, że coś w tym rodzaju jest w Ameryce planowane. Czy wprowadzenie w życie takiego systemu jest możliwe — trudno powiedzieć. W każdym razie innej drogi nie ma.

Wszelkie dotychczasowe metody zapewniania bezpieczeństwa stają się bezprzedmiotowe. Jeżeli n.p. Rosja do tej pory twierdziła, że w imię swego bezpieczeństwa musi mieć "przyjazne", czyli uległe sobie rządy w sąsiednich państwach, to teraz ten argument odpada. Jeżeli Rosja mieć będzie bombę atomową, względnie jeżeli powstanie system gwarantujący powszechne bezpieczeństwo to jakże umotywuje ona marionetkowe rządy w krajach sąsiednich? Jeżeli Rosja nie będzie miała bomby i nie będzie międzynarodowego systemu, to nawet osadzenie "przyjaznych" rządów w całej Europie na nic się jej nie zda.

ROSJA ANGAŻUJE SIĘ W AZJI

5. W następstwie wystąpienia rosyjskiego na Dalekim Wschodzie punkt ciężkości polityki światowej przesuwa się obecnie ku Chinom. Rosja ma, jak wiadomo, bardzo określone cele w Azji, godzące bezpośrednio w interesy Chin. Jej program maksymalny obejmuje narzucenie marionetkowych rządów Mandżurii i Korei, przyłączenie Mongolii Wewnętrznej do Zewnętrznej, która jest już państwem wasalnym Sowietów, oraz wprowadzenie komunistów do rządu centralnego i zapewnienie im decydujących wpływów. Innymi słowy Chiny miałyby się stać drugą Polską: zostać okrojone i otrzymać rząd wedle wzorów lubelskich.

Czy się to Rosji uda? Przez wejście do wojny może stworzyć fakty dokonane: zająć Mandżurię i Koreę. Z drugiej strony jednak Ameryka może nalegać na wprowadzenie deklaracji z Kairu z 1943 roku, obiecującej Chinom odzyskanie Mandżurii i niepodległość Korei. Wprawdzie tajne układy z Jałty miały przyrzec Rosji rozwiązania sprzeczne z tą deklaracją, ale prez. Truman może uważać się niezwiązany tymi układami. W ostatnim swym przemówieniu wyraźnie i z naciskiem stwierdził, że prezydentowi Stanów nie wolno zawierać żadnych układów bez zgody Senatu . . .

Ameryka z pewnością zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim byłoby włączenie Chin do olbrzymiego bloku totalistycznego. W każdym razie po raz pierwszy powstaje płaszczyzna ścierania się interesów rosyjskich i amerykańskich. Ekspansja rosyjska w Europie nie była przez Amerykę uważana za groźbę. Inaczej zapewne ekspansja w Azji.

Następstwem podjęcia przez Rosję akcji na Dalekim Wschodzie powinno być zelżenie nacisku rosyjskiego w Europie. Publicysta "*Observera*" wyraża przypuszczenie, że Rosjanie muszą się zabezpieczyć w Europie przez dobre stosunki z W. Brytanią, oparte na przyjaznej współpracy i że to pozwoli nowemu brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych na urzeczywistnienie jego planów.

KONSEKWENCJE DLA SPRAWY POLSKIEJ

Trudno jest tymczasem ocenić, jak te wszystkie rozliczne, a doniosłe przemiany odbiją się na sprawach Polski. Jeżeli mocarstwa Zachodu zechcą urzeczywistnić tylekroć proklamowane obietnice, dotyczące zapewnienia Polsce prawdziwej niepodległości, jeżeli postanowią przypilnować, by wybory były naprawdę wolne, to oczywiście mogą dziś znacznie łatwiej to w czyn wprowadzić, aniżeli uprzednio. Rzecz sprowadza się do tego czy zechcą?

Tymczasem polityka w sprawie Polski nie uległa zmianie. Prez. Truman w swym przemówieniu trwał przy formułce krymskiej i poczdamskiej. Dopiero dalsze wydarzenia pokażą jak te formułki będą w nowej sytuacji interpretowane. Oczywiście musimy wystrzegać się złudzeń i brania życzeń za rzeczywistość.

Warto jednak zanotować znamienne słowa prez. Trumana, że kraje Europy południowo-wschodniej "nie mogą być strefą wpływów jednego mocarstwa". Mgliste zapowiedzi komunikatu poczdamskiego co do wolności działania dziennikarzy zagranicznych na terenie Europy wschodniej zamieniły się też w kategoryczne twierdzenie. Wygląda to na pierwszy poważniejszy wyłom w chińskim murze, oddzielającym strefę sowiecką od reszty świata. Interes ludzkości wymaga, by poszły za nim dalsze.

Londyn, 12 sierpnia 1945

ALEKSANDER BORAY

Mnożą się odezwy i wezwania do żołnierzy Sił Zbrojnych na obczyźnie z żądaniem podporządkowania się Rządowi Tymczasowemu w Warszawie i stanięcia pod rozkazami mianowanych przez ten Rząd dowódców. Odezwy obiecują "wszystkim oddziałom polskim" powrót do Kraju. Grożą tym, którzyby usiłowali w tym przeszkadzać.

Nasza odpowiedź jest prosta. Przysięga i wierność żołnierska wiąże nas z prawowitym Prezydentem Rzeczypospolitej, jako naszym zwierzchnikiem, z mianowanymi przez niego naczelnymi władzami Sił Zbrojnych. Tylko na rozkaz Prezydenta Rzeczypospolitej, przekazany nam przez naszych dowódców, możemy przejść pod inne rozkazy, nie przestając być, czym byliśmy przez długich sześć lat wojny: żołnierzami niepodległej, suwerennej Rzeczypospolitej.

Mówią nam, że przysięgaliśmy Ojczyźnie i że Ojczyzna żąda, byśmy przeszli pod rozkazy władz, w Kraju ustanowionych, i wracali. Ale my wiemy przecież, że nie Ojczyzna władze te ustanowiła i wyłoniła. Jesteśmy żołnierzami Niepodległości. I wiemy, że w Kraju nie ma niepodległości.

Nie jest wyrazicielem woli Ojczyzny naszej władza, ustanowiona w Moskwie, w chwili, gdy jednocześnie sądzono uwięzionych szesnastu przedstawicieli Narodu, przywódców jego w walce o Niepodległość.

Jeśli nastąpi w Kraju odmiana, jeśli wola Narodu będzie mogła swobodnie przejawić się w wolnych wyborach i w wyniku ich powstaną nowe naczelne władze Rzeczypospolitej, wówczas przyjdzie moment, w którym prawowity Prezydent R.P. będzie mógł powziąć decyzję co do przekazania swych uprawnień, a decyzji tej podporządkują się karnie Polskie Siły Zbrojne poza Krajem.

Aż do tej chwili żołnierz Polskich Sił Zbrojnych poza Krajem trwa w posłuszeństwie tej władzy, której podlegał, odkąd podjął na obczyźnie walkę o Wolność i Niepodległość.

Usiłują odezwy i ulotki wbić klin między ogół żołnierzy a ich dowódców. Tych dowódców, którzy prowadzili ich szlakiem krwi i chwały i wspólnie z nimi sprawili, że nasze Siły Zbrojne w Kraju i na obczyźnie zdobyły szacunek świata dla nieugiętego męstwa i niespożytej siły moralnej Polaków. Wysiłki to daremne.

Daremne są również próby zastraszenia naszych zwierzchników i dowódców. Grożą im sądami. Nie ulęknie się tych sądów żołnierz, który wypełnia swój obowiązek względem Ojczyzny, wierny przysiędze i posłuszny nakazom własnego sumienia.

Nowości lotnicze: bomba uranowa

Świat starożytny wierzył, że wszystko co się w świecie znajduje składa się z czterech zasadniczych elementów: ziemi, wody, powietrza i ognia. Stąd jeszcze do dziś chrzcimy te składniki przydomkiem żywiołów elementarnych. Wiedza nowoczesna poszła głębiej odkrywając, iż cały świat materii, którą poznajemy naszymi zmysłami składa się z 92 składników podstawowych, które zwiemy pierwiastkami. O tym, czym jest pierwiastek decyduje natura najmniejszej jego cząstki materialnej, którą zwiemy atomem. Atom jest poza tym cząstką niepodzielną, której całości nie można było rozbić dotychczas żadnymi procesami mechanicznymi, termicznymi lub chemicznymi.

Początkowo przypuszczano, iż atom jest cząsteczką jednorodną i jednolitą. Dziś jednak jest wiadome, że atom składa się z jądra, dookoła którego wirują mniejsze cząstki zwane elektronami. Przypomina to więc nasz system planetarny ze słońcem i krążącymi dookoła niego planetami.

Jądro atomu posiada dodatni ładunek elektryczny, elektrony są o ładunku ujemnym. Ilość elektronów decyduje o naturze atomu, a co zatem idzie o rodzaju pierwiastka. I tak najmniejszą ilość elektronów, bo tylko jeden, posiada atom wodoru, największą — 92 — atom uranu.

Marzenia i zabiegi średniowiecznych alchemikow aby przemieniać w złoto inne materiały — nie były tak absurdalne, jeśli się zważy, że o tej przemianie decyduje zmiana ilości elektronów w atomie. Atom rtęci posiada na przykład 80 elektronów, atom złota 79. Jeżeli wytrącimy po jednym elektronie z każdego atomu rtęci otrzymamy złoto. Cała rzecz tylko w tym jak wytrącić ten jeden elektron.

Odkrycie Rutherforda w r. 1919 dało początek rozbicia atomu azotu przez bombardowanie go cząsteczkami wysyłanymi przez radium, otwierając tym samym drogę do dalszych doświadczeń laboratoryjnych. Przy użyciu olbrzymich aparatów i przy zastosowaniu napięć elektrycznych o kilku milionach volt zdołano rzeczywiście w laboratoriach wytrącić po jednym elektronie z atomów rtęci zamieniając tym samym rtęć w złoto, lecz jak dotychczas ilości złota, które w ten sposób otrzymano nie przekraczały . . . kilkudziesięciu atomów.

Pierwsze próby rozbijania atomu polegały na bombardowaniu go przez strumień elektronów. Ten system okazał się jednak nieskuteczny, gdyż elektrony wirujące dookoła jądra atomowego, nie dopuszczają poza swoją orbitę ani jednego intruza chociażby były nawet tak nieliczne jak elektrony atomów wodoru /1/.

Szybkość, z jaką wirują elektrony dookoła jądra atomu, dochodzi do 20.000 mil na sekundę, a ponieważ ich orbita wynosi jedną tysięczno-milionową część cala, wobec tego każdy elektron obraca się naokoło swego jądra: 10^{19} /jedynka z 19 zerami/ razy na sekundę.

Badając jednak dalej budowę atomu uczeni odkryli, iż jądro również nie jest jednorodne, lecz składa się z szeregu cząstek: protonów, o ładunku dodatnim, które decydują o dodatnim ładunku całego jądra i neutronów, które nie posiadają żadnego ładunku.

Otóż o ile żaden z luźnych elektronów z zewnątrz nie może się przedostać poza orbitę krążących elektronów w atomie, które chronią jego jądro jak pancerzem, to neutrony przenikają przez ten pancerz bez trudu. Odkrycia tego dokonał w r. 1932 Chadwick, stwierdzając, iż pancerz elektronów, którym jest osłonięte jądro atomu nie jest pancerzem dla neutronów. Brak ładunku elektrycznego pozwala im przenikać przez pole wirujących elektronów i docierać do jądra atomu.

Neutron, który w ten sposób przebił się przez elektrony i zderzył się z jądrem atomu wytrąca /odłupuje/ z niego część jądra, wyzwalając przytem dużą ilość energii.

W r. 1938 — 39 uczeni niemieccy, robiący doświadczenia z atakowaniem uranu przez neutrony stwierdzili, iż zachodzi przy tym zupełnie nowa forma reakcji. Jądro atomu uranu nie dało odłupań jak inne pierwiastki, lecz rozpadło się na dwie połowy wyzwalając przy tym olbrzymią ilość energii.

Ta olbrzymia ilość energii jest zawarta w każdym atomie. Materia bowiem i energia według nowoczesnej nauki to jedno i to samo — tylko w różnej formie. Każda materia jest energią w stanie potencjalnym /uśpionym/. Przy rozbiciu atomu energia znajdująca się pod postacią materii wyzbywa się tylko dotychczasowej swej formy.

Przykładowo można to porównać do wirującego kamienia umocowanego na końcu sznurka, lub do piłki napełnionej zgęszczonym powietrzem. Gdy przetniemy sznurek, lub piłkę, wyzwolona energia spowoduje, że kamień wyleci jak z procy a powietrze wystrzeli na zewnątrz piłki. Do odkrycia Rutherforda nie było niestety tak subtelnych przyrządów, któreby to przecięcie w świecie atomowym mogły uczynić.

Powracając do uranu obliczono szybko, że bomba z uranu o wielkości jabłka może zniszczyć całe miasto, gdyby się udało wszystkie atomy tego uranowego jabłka rozbić od razu. W pracowniach uczonych zawrzało. Wynikiem tych badań jest bomba, która 5 sierpnia padła na Japonię z samolotu amerykańskiego.

Uran jest pierwiastkiem promieniotwórczym, to znaczy, że wysyła z siebie energię, zmniejszając swoją wagę. Zmniejszenie wagi jest nieznaczne i wynosi 1/1000 część w przeciągu 9 milionów lat. Celem uczonych stało się skurczyć miliony lat do ułamka sekundy, tlejący się płomyk zamienić w kataklizmowy i błyskawiczny ogień.

Dla zaistnienia wybuchu nie dość było jednak rozłożyć na raty atom po atomie, lecz stworzyć takie warunki, by wszystkie atomy rozpadły się w oka mgnieniu. Jak dotychczas ustalono, tylko jeden rodzaj uranu U.235 stwarza takie warunki.

Ten właśnie rodzaj uranu atakowany przez strumień neutronów daje przy rozpadzie swoich atomów nowe neutrony, które atakują następne atomy, rozbijając je, wyzwalają znowu neutrony i ta reakcja łańcuchowa rosnąc w stosunku geometrycznym w masie, w niesłychanie drobnej ilości czasu powoduje wyzwolenie kolosalnych mas energii w początkowo nieznacznej stosunkowo przestrzeni, co powoduje wzrost temperatury wyrażający się w astronomicznych cyfrach, a co za tym idzie — straszliwy w skutkach wybuch. Niektórzy przypuszczają, iż temperatura bomby uranowej tuż po wybuchu sięga rzędu temperatury jaka panuje w środku słońca t.j. temperatury rzędu milionów stopni.

ZASTĘPCA

Z notatek "Häftlinga"

II.*

Sierpień 1943.

Zaczynamy puchnąć. Najpierw twarz i nogi. Na apelu większość z nas wygląda śmiesznie, jak odbicie w wypukłym lustrze. Od nóg opuchlizna posuwa się wyżej. Coraz ciężej chodzić w pole. Na rewir /szpital/ nie przyjmują. Kobiety padają pod blokami, umierają. Mnie ratuje kilka proszków moczopędnych, "zorganizowanych" przez koleżankę pracującą w aptece.

20 sierpnia moja matka umiera na tyfus. 15 sierpnia przy 40° gorączki wypędzona przez "blokową" idzie na odwszenie do *sauny*. Dzień jest wyjątkowo chłodny. Odwszenie przeprowadza się zwykłym systemem: bieg, bicie, krzyk, chwila zimnego prysznicu, długi postój nago w zimnej sali w oczekiwaniu na odzież.

Nasz transport topnieje stopniowo. Ludzie umierają na tyfus plamisty, *durchfall*, opuchliznę, malarię. Wszyscy mają wrzody, większość cierpi na świerzb.

Wrzesień 1943.

Selekcja. Wybierają Żydówki do "komina". Na blok przychodzi Tauber i Drekslerka. On typ rzeźnika, ona — z wystającymi zębami, o wyglądzie wygłodniałej suki. Żydówki wychodzą na apel. Któraś w tylnym szeregu z gorączkowym pośpiechem maluje kawałkiem buraka rumieńce na żółtych policzkach swej matki.

Niemcy przechodzą szybko. Wskazują ręką: ta, ta, tamta. Odchodzą. Kobiety podnoszą lament. — "Moja siostra, ona ma 16 lat, ona zdrowa". Czasem apel odbywa się nago. Najmniejsza krostka na ciele kwalifikuje na blok 25. Blok 25 jest to "kwarantanna śmierci". Tutaj lokuje się około 2000 do 2500 ludzi, beznadziejnie chorych z rewiru i zdrowych z lagru. Stłoczonych ponad granice możliwości trzyma się przez dwa dni bez jedzenia i wody. Rok temu na blok 25 wysłano też Polki — "muzułmanki".

Zajeżdżają samochody. Droga krótka. Krematoria stoją tuż za lagrem. Było ich cztery, ale od nas widać tylko dwa wielkie budynki z wysokimi kominami w rodzaju piekarni. W podziemiach i na parterze komory gazowe. Przez okienka lub otwory w suficie wrzuca się tu puszki, z których wydziela się gaz.

Ofiary przed śmiercią idą do kąpieli, a po śmierci w ogień. Wszystko trwa krótko. W 10 minut po wylądowaniu auta, dym i ogień bucha wysoko z komina krematorium.

Transporty przychodzą na lager. "Pawiak" z Warszawy, Monte — z Krakowa, więzienie łódzkie, Majdanek, lager z pod Baranowicz, lager z pod Witebska. Polityczne, kryminalne, ewakuowane. Polki, Żydówki, Rosjanki z gromadami dzieci. Niemowlętom tatuuje się numery na udach.

Październik 1943.

Mgła. Na apel poranny wychodzimy przed świtem i czekamy długie godziny aż słońce rozwieje opary. Zimno. Jeden sweter, pasiak, "jaka" /za podwójną chustkę na głowie "*Stehenbunker*": stoi się całą noc w pomieszczeniu o charakterze pionowo ustawionej trumny. Nogi w wodzie, plecy skulone/. Zimno. Ciała kołyszą się miarowo z boku na bok. Około 9-ej pokazuje się słońce.

Pada komenda, przechodzimy bramę. *Links, links und links.* Orkiestra gra. Pracujemy bez przerwy obiadowej od 7-ej. Komando 9, do którego chodzę teraz zbiera marchew i buraki. Praca ciężka, ale "capo" i "anwajzerki" Polki nie poganiają. Szef uprzejmy — bije bardzo rzadko.

Taki stan trwa trzy tygodnie. Po trzech tygodniach zmiana. Zarządzeniem władz Polki ustępują ze stanowisk i wracają niemieckie czarne "winkle". Szef przeistacza się, jak za dotknięciem czarnoksięskiej różdżki. Starą kobietę, którą wczoraj zwał "matką" — dziś bije za "organizację" marchwi z taką siłą, że pęka drzewo. Krew z rozciętej głowy opryskuje cały mundur SS-manna. Któregoś dnia przychodzi w odwiedziny szef z komando 10 i słyszymy, jak chwali się, że w swoim komando "wykończył" 200 kobiet. Nasz szef wstydzi się swego kolegi i boi się czarnych "winkli", które mogą na niego naskarżyć "bramie".

Kopiemy rowy. Dwumetrowy dół, woda po kolana. Łopata w górę, łopata w dół. Ziemia zmarzła. "*Aber tempo, aber loos*". — Obiad na klęczkach w zroszonej trawie, bo kilka kobiet rozpychało się przy kotłach. Droga powrotna biegiem i boso, bo tak podobało się szefowi.

Listopad 1943.

Tyfus. Na rewirze odbywa się następujący dialog między dwiema chorymi leżącymi na jednym łóżku: — "Pani, pani, daj mi pani wody, ja umieram!" — jęczy jedna. — "Idź pani do cholery, ja też umieram" — odpowiada druga. Za pół godziny umierają obydwie.

Po zakończeniu "*ausenmarszu*" — przez "*lagerstrasse*" ciągną, też piątkami, kolumny chorych. Po 50 z jednego bloku. Na rewirze nie ma miejsc. Chore kładzie się po 4 lub po 5 do jednego łóżka. Brak lekarstw i zastrzyków. Kuchnia wydaje za mało ziółek i kawy. Chore jęczą z pragnienia, krzyczą w malignie, robią pod siebie. Między łóżkami rzucają się w atakach szału te, które mają potyfusowe komplikacje mózgowe.

"Flek" /tyfus plamisty/ komplikuje się ponadto zapaleniem płuc, wrzodami, *durchfallem*. Panuje "pęcherzyca", bardzo zaraźliwa, w 90% nieuleczalna. Na ciele pojawia się mały pęcherzyk, wypełniony wodą, który szybko wzdyma się i pęka, odsłaniając nagie, gnijące ciało. Po kilku dniach ciało zaczyna odpadać od kości. Człowiek cuchnie trupem jeszcze za życia.

Trupy wyrzuca się przed bloki. Umiera dziennie około 300 osób.

Selekcje trwają. W ciągu jednego dnia stan lagru z 25,730 spada na 23.500.

Grudzień 1943.

Zachorowałam na same święta. Koło mojej głowy deska, przerzucona przez koje imituje stół wigilijny; prześcieradło zamiast obrusa, gałązki choinki, kawałek opłatka przysłany z domu w paczce.

Spożywamy swoją wigilię we cztery. Najstarsza z nas zostawiła w domu dwoje dorastających dzieci. Są tak blisko stąd — 40 km, a nie widziała ich już 3 lata. Najmłodsza ma oczy pełne łez: jeszcze rok temu matka przystrajała jej choinkę. Trzecia — pokazuje fotografie trzyletniej córeczki, którą zostawiła w domu, jako sześcio-miesięczne niemowlę. Nie słyszała pierwszych słów swego dziecka i nie widziała pierwszych jego kroków.

Mnie, zazdroszczą wszystkie. Ten kawałek opłatka dostałam od mego męża, którego odnalazłam po roku na męskim lagrze. Mam też "gryps" od niego, maleńki liścik, przeniesiony w bucie, pod groźbą SK, przez uczynnego kolegę.

Przez szum bloku przepływa fala melodii, kolend i polskich pieśni. "Blokowa" Niemka zdobywa się na gest: "Życzę Wam, abyście już miały swoją Polskę".

Styczeń 1944.

Rewir. Cztery tygodnie ciężkiego tyfusu.

Wszy zbieram z szyi garściami. 28-go odwszenie. Chore w kocach zarzuconych na nagie ciała, idą do *sauny*. Tylko umierające zostają na blokach. Nasze odwszenie odbywa się w warunkach uprzywilejowanych: nasz blok jest jedynym, który posiada łazienkę. O godz. 2-ej w nocy zabierają nam z łóżek koce, sienniki, bieliznę osobistą. Zupełnie nago i na gołych deskach leżymy do godz. 9-ej wieczór. W międzyczasie dodatkowa szykana "blokowej" — Volksdeutscherki: otwarcie na przestrzał drzwi bloku przy kilkunastostopniowym mrozie.

Wieczorem kolejno przechodzimy do łazienki i zanurzamy się w gęstej od brudu wodzie. Prosto z łazienki nago, przykryte tylko cienkim kocem przechodzimy na inny blok. W drodze gubię w śniegu za duże drewniaki i idę dalej boso. Mam 39° gorączki, wrzód w gardle.

Kwiecień 1944.

Wychodzę z rewiru. Epidemia tyfusu zdziesiątkowała lager. Między innymi z transportu pawiackiego, który przybył w październiku 1943 r. z 260 kobiet zostało przy życiu około 80. Teraz masowo umierają na gruźlicę.

Na lagrze udaje mi się dostać do komanda, które zbiera zioła dla apteki rewiru. Praca lekka i przyjemna. Razem z nami ozdrowieńcami pracują Żydówki, z bloku 10-go w Oświęcimiu. Są to pacjentki niemieckiego lekarza, który przeprowadza doświadczenia na ich organach kobiecych. Większość sztucznie zapłodniona. Po wykonaniu doświadczeń — króliki idą na śmierć.

Maj 1944.

Przychodzą transporty węgierskich Żydów. Na bocznicy kolejowej, przeprowadzonej do krematorium, po kilka razy dziennie staje długi pociąg. Z bydlęcych wagonów wysypują się masy ludzi. SS-mani, krzycząc i bijąc, ustawiają ich piątkami.

Przed "*Blockführerstube*" paru SS-manów laseczką wskazuje: lewo, prawo. Na prawo kierują nielicznych młodych i zdrowych, na lewo idą wolnym krokiem starcy i wesoło podskakując biegną dzieci. Czasem jakieś dziecko rozwrzeszczy się, bo odłączono je od matki. Na ogół jednak gwar jest spokojny, pozbawiony zdenerwowania. Idą przecież "do łaźni".

Pochód powoli przesuwa się przez bramę krematorium. Głosy cichną. Cisza grobowa zalewa Birkenau. I nagle z wysokiego komina bucha płomień, jak komin wysoki i nieprawdopodobnie krwawy. Na pustym peronie piętrzy się olbrzymi, przerastający wagony stos odebranych pakunków i pościeli.

Cztery kominy za mało. "Sonderkomando" kopie głębokie doły, zwozi się choinę. Warstwa choiny i warstwa ludzi. Gazu brak. Dzieci nie przeprowadza się już do "łaźni", płoną żywcem w dołach, rzucane jak szczenięta.

Czerwona łuna nad Oświęcimiem gasi księżyc, urąga słońcu.

Sierpień 1944.

Pierwsze transporty z Warszawy. Na lagrze groza. Czy przyjechał ktoś z moich? Szuka się nieprzytomnie wśród ogolonych przeważnie głów, zmizerowanych twarzy. Tam jakieś dwie siostry obejmują się płacząc: "O mamie nic nie wiem. Zosia została w piwnicy, tam rzucili granaty. Mieszkanie spłonęło".

Transporty Żydów przychodzą stale. W oknach baraku krwawy odblask łuny palonych ciał.

Wrzesień — październik 1944.

Odchodzą masowe transporty do Ravensbrück i do fabryk. W pierwszym rzędzie "Warszawianki" i Madziarki. Potem inne. Odjeżdżają Niemki.

Prostytutki i złodziejki stoją na baczność przed "*Blockführerstuba*" i śpiewają wzruszonymi głosami "*Deutschland über alles*". My też jesteśmy wzruszone. Niemcy opuszczają naszą ziemię.

Listopad 1944.

Likwidacja lagru. Skupiają nas w kompleksie męskich obozów w Birkenau. Na dawnym rewirze z baraków pozostały już tylko kominy. Deski i gruzy leżą porozrzucane na klombach tak mozolnie wykonanych przez SK latem. Wyjechały najgorsze *Aufseherki*: Mandel, Dreksler, Brandel, Ruppert, Hasse i Zachert. Po pustych lagrach szaleje tylko na motocyklu *Arbeitsdienstführer* Perschel. Narkoman, degenerat, sadysta. Niemiec z Katowic.

Grudzień 1944.

Z kominów ani śladu. Rozebrane do fundamentów z drobiazgową skrupulatnością: "Precyzyjne" urządzenia do wytwarzania gazu wywiezione do Niemiec.

Styczeń 1945.

18-go w nocy budzi mnie rozdygotany szept: — "Dziś rano wychodzimy". Szept idzie od koi do koi, budząc szelest wkładanej odzieży. O 4-ej stajemy przed blokiem na ostatnim oświęcimskim apelu. Nasz ekwipunek na drogę dwa koce, dwa bochenki chleba, 1/2 kostki margaryny, puszka konserw. Takiej obfitości jedzenia nie dawano nam nigdy w lagrze.

Ostatni raz przechodzimy bramę. Odliczono 4 tysiące kobiet. Chore zostają.

Idziemy, pieszo trzy dni, robiąc po 30 km dziennie. Nocujemy w stodołach, lub pod gołym niebem, na śniegu. Kto nie może iść dalej — zostaje zastrzelony. Od Włodzisławia drogą w otwartych wagonach po węglu. Ścisk nieopisany. Mróz.

Pociąg po trzech dniach staje w nocy na bocznicy. SS-mani biegną peronem. Otwierają boki wagonów. Znowu stajemy piątkami. My w ostatniej. *Zurück!* sprzątać wagony. Popychana kolbą wpadam do zaśmieconego wagonu. Chwytam pierwszy "lump" — to noga trupa.

Przybyłyśmy do Bergen-Belsen.

Bergen-Belsen w kwietniu 1945 r.

KRYSTYNA KOBYŁECKA

* Porównaj nr. 32 "Polski Walczącej" z b.r.

WIERSZE Z MAUTHAUSEN

KACET MAUTHAUSEN

kamienie ...
mury ...
numery ...
numery ...
arbeit macht frei ...
cień gaz kamery ...

cugangi ...
rewir ...
Dachau ...

heftlingsanatorium ...
esmani ...
esmani ...
komin krematorium ...

transporty ...
transporty ...
Linz ...
Ybbs ...
Steyer ...

bunkier ...
psy ...
Bachmeyer!!!
Bachmeyer!!!

czwarty wymiar!
Bóg wie tylko jeden
i ja!
numer 30157 ...

Mauthausen-Linz wrzesień 1944

SEN MIASTA

Miasto już usnęło ... Zamarły ulice,
Tylko księżyc srebrzy ślepe kamienice,
Rozpina drżącą siatkę swych promieni
I gwiazdy zabawia grą świateł i cieni ...

Miasto już usnęło ... Cisza wielka legła
Nad dachami domów i wzdłuż ulic biegła ...
Głucha i dzwoniąca wisiała nad placami
Tętno dalekich kroków ścigając echami ...

Miasto już usnęło ... Na kościelnej wieży
Zegar wybił dwunastą ... Pół nocy odmierzył ...
Idąc przez czas i znacząc kwadranse
Skracał nocne księżyca z gwiazdami romanse ...

Miasto już usnęło ...
Wtem w górze,
Światło rakiet zapłonęło,
Niebo się rozwarło
W zieleni, purpurze,
Wycie syren,
Huk dział,
Ryk maszyn
I za nimi w ślad
Bomby runęły jak grad.

Bukiety płomieni wykwitły nad dachami;
Pióropusze dymów, bomby walą seriami,
A księżyc zawieszony na krzywej latarni
Drwiąco się uśmiecha do miasta męczarni ...

Znowu dom się wali-
Do schronu! Do schronu!
Z miasta jęk się wznosi,
Hen, do niebios tronu,
Tam gdzie świetlny palec
Reflektor położył
I Boga szarpie pytaniem:
Panie, Tyś tę wojnę stworzył?

Mauthausen-Linz lipiec 1944

NOCNY ALARM

Było to w Mauthausen, zeszłego roku,
Na rewirze, na pierwszym bloku,
Zimą, gdy noce ślepe stały za oknami
I wiatr grał na szybach
Deszczu drobnymi palcami
Nokturny Szopena ...

Leżeliśmy cicho, zasłuchani
W dziwne wiatru wariacje,
Gdy wtem głos syreny przeraźliwy
Przerwał nocy ciszę
Jękiem potępieńca,
Co cierpi czyścowe katusze ...

Patrzyłem w małe okienko przede mną,
Gdzie widać było jak przestrzeń ciemną,
Świetliste noże reflektorów
Kłuły długimi pchnięciami
Krająć miękką masę nieba
Między gwiazd złotymi ćwiekami ...

Gdzieś w oddali drżał delikatny brzęk motoru ...
Rósł, coraz bliższy,
Coraz głośniejszy i wyższy,
Basem do tenoru,
Aż wreszcie ryknął. I nad dachami
Gromkie budząc echa pomiędzy blokami ...

Widziałem oczyma duszy
Jak bladzi esmani na warcie
Zatykają uszy,
Motorów tysiącznym zduszeni łoskotem
W bladym strachu kulą się pod płotem
I coś we mnie drżało napięte jak struna ...

Wtem — ktoś z łóżka wyskoczył
i krzyknął za pierś się łapiąc rękami:
Panowie! To wolność leci nad nami!

Mauthausen-Linz listopad 1944

STEFAN SZONERT

Z cyklu: Rok 1940 — pamiętniki pilota myśliwskiego

GOMULIŃSKI IDZIE NA RYBY



rysunki ARTURA HOROWICZA

Trwamy w pogotowiu na lotnisku. Klucz Karangevina na pogotowie pierwsze, więc wszyscy jego piloci siedzą w pełnym ekwipunku w kabinach, piloci mego klucza jako pogotowie drugie mogą siedzieć pod skrzydłem samolotu, mając tuż pod ręką spadochron.

Żar leje się z nieba; błękit jest zadymiony, jakby wzdłuż całego horyzontu coś się paliło. Powietrze zastygło w bezwietrzu i tylko jego warstewki drgają od gorąca. Mechanicy śpią w cieniu skrzydeł. Gomuliński siedzi naprzeciwko mnie po turecku w mundurze z rozpiętymi guzikami. Przez rozchełstanie munduru i koszuli widzę jak strużki potu spacerują mu w dół po owłosionych piersiach. Dziwi mię ta pogarda wygody, którą przejawia tak wyraźnie mój główny inżynier, ale z jego poważnej miny i lekkich fałdów na zamyślonym czole widzę, że jest on pełen jakichś idei. Nie chcę mu przeszkadzać w myśleniu i czekam cierpliwie aż myśliciel podniesie prawicę na wysokość twarzy, uderzy się nią silnie w kolano i oświadczy zdecydowanie i niedwuznacznie, żeby nie było żadnych pomyłek:

—Dziś popołudniu idę na ryby.

W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że Gomuliński jest zaprzysięgłym amatorem ryb. W Polsce nie był, dopiero tu się tak wyrobił. — Już Chrystus uczył ludzi jeść ryby — powiada. Z czego wynikałoby, że niby stary nicpoń przejął się naraz gorliwie naukami Chrystusa. Jest to oczywisty fałsz, na który się nikt nie nabierze, bo wszystkim wiadomo o co chodzi. W Polsce, jak wiadomo, rybę jadło się przeważnie bez przypraw, natomiast tu we Francji jest to rzeczą wprost nie do pomyślenia. Mówiąc o przyprawach należy oczywiście mieć na myśli "Chablis", "Sauternes" lub "Graves", głównie jednak "Chablis", które dla Gomulińskiego przedstawia największy czar i urok. Przyciśnięty do muru amator ryb, któremu się zarzuci obłudę, spłoni się w końcu na twarzy, napełni się oburzeniem i wypowie jedną z głębokich życiowych prawd, że ryba chronicznie nie cierpi suchego żołądka i że najgłupszy szczeniak o tym wie.

Tam na lotnisku w cieniu "Curtisa" usłyszawszy o tych rybach, zdumiałem się. Jeżeli Gomuliński mówi, że idzie na ryby, to znaczy, że znalazł w pobliżu jakiegoś "Chez Gaston" lub "Chez Augustin", w którym podają zarówno rybę, jak i "Chablis". Okolica jest jednak wyludniona i głucha, jak makiem siał. Jeżeli w promieniu dwóch kilometrów od lotniska znajdzie się pół tuzina mieszkańców, to będzie dobrze. Przecież wczoraj to widzieliśmy. Wszystkie domy pozamykane i opuszczone. Przed domami głodne koty i psy. I to nie wszystkie, bo część także wyemigrowała z uchodźcami.

Gomuliński widzi moje zdumienie i wie już doskonale co o tym myślę. Na jego twarzy wschodzi uśmiech dumy jak słońce. Żeby wyprowadzić mnie z błędu kiwa dużym palcem w kierunku rzeki poza lotniskiem i oświeca:

—Idę, uważasz, na ryby . . . tam . . . z wędką.

Zaniemówiłem odrazu z miejsca. Po dłuższej chwili przetrawiwszy niespodziankę, przebiwszy się przez oszołomienie, wybąkałem:

—Ty na ryby . . . z wędką!

Wystartował na mnie odrazu z wielkim hałasem aż obudziło to któregoś z mechaników.

—Śpij pan dalej — rozkazał mu Gomuliński, nie przestając wjeżdżać na mnie. Że niby co ja sobie o nim myślę! Że jak on łowił ryby, to ja jeszcze . . . szukał dosadnego porównania, ale najbardziej dosadne musiały mu się wydać za słabe, bo zdegustowany machnął ręką. — Na Narwi, uważasz . . . Były tam piękne zakola. Co nie zarzucisz wędkę . . .

—Kiełbie — powiadam.

—Ty jesteś kiełb — patrzy na mnie złym wzrokiem. — Takie ryby były — rozstawia dłoń od dłoni na przeszło pół metra.

Znad horyzontu zamotanego w opary nadchodzi głuchy, daleki, monotonny huk. Głos jest tak słaby, że wielu może go wziąć za przywidzenie. Ja sam przez chwilę nie jestem pewien czy to gdzieś jedzie, czy to są samoloty. Wielu, powtarzam, może ulec złudzeniom, ale nie Gomuliński. Jest czujny i żywy w tej chwili, jak wyżeł, który wytropił zwierzynę:

—Panie Marceli! — woła do mechanika. — Uwaga . . . nadchodzi! A zbudź że się pan do cholery. To nie przelewki. Czy nie słyszy pan, że leci? Jak ja rozmawiałem o rybach, to mój głos panu przeszkadzał, a teraz jak pół *"Luftwaffe"* pcha się wprost na nasze lotnisko, to panu się zbiera na sen.

Mechanicy rozbudzeni zaczynają podnosić zaspane głowy. Głos z nad horyzontu przełamuje się wyraźnie poprzez zamglenie i opary hukiem pracujących silników. Gomuliński skacze na równe nogi i podciąga pasek u portek.

—Co tam leci? — woła do wystawionej stójki z lornetką.

—Nic jeszcze nie widać, panie kapitanie — odkrzykuje tamten.

—Uważaj ino bracie, żeby nam nie nasypali pieprzu.

Lubię patrzeć na mego głównego inżyniera w takich momentach. Jest głuchy i nieczuły na wszystko, co nie jest związane z podejrzanym hukiem. Stoi bokiem do huku czujny, jak żóraw w stepie. Oczy mu chodzą od nieba do ludzi przy maszynach i z powrotem, a słońce zapala różowość na głowie ubogiej w zarost.

Tym razem maszyny przechodzą gdzieś bokiem; nie widać ich zupełnie. Daremnie stójka przeszukuje lornetką niebo. Głos silników wyraźnie słabnie i odpływa.

—Przeszli bokiem — mówi jakiś mechanik.

Surowy wzrok Gomulińskiego zatrzymuje mu resztę słów. Żóraw stepowy czuwa nadal. Nie raz tak bywało, że ten co odleciał, przyleciał z powrotem, a ten co przyleciał, posłał nam bomby. Doświadczenie uczy mądrości jak wiadomo. Chociaż zaczynam być pewien, że droga samolotów nie skrzyżuje się z naszym lotniskiem, to jednak mam w myśli przygotowane wszystkie ruchy jak porwać za spadochron, narzucić go na siebie i wskoczyć do kabiny. Mechanicy mają tak samo w myślach swoje następne ruchy. Czekają zgrani jak obsługa przed odpaleniem działa. W razie alarmu już widzę jak jeden skacze na skrzydło pomagając mi spiąć pasy, jak dwóch rzuca się do śmigła, jak wszystko zaczyna grać niby w dobrze naoliwionej maszynie.

Głos silników zamiera i już nie wraca najmniejszą falą. Dymiąca cisza wchodzi na lotnisko, jedynie w środku tej głębokiej, gorącej ciszy wibruje głos skowronka.

—Odtrąbione — daje sygnał Gomuliński i zaczyna się uśmiechać do mnie tym uśmiechem porozumienia, jaki zamieniają współwędrowcy po przebyciu uciążliwego szlaku. — Że też im chce się latać w taki upał! — mówi z podziwem. — Czy nie było by to lepiej brać teraz kąpiel słoneczną. — Wyciąga z przepastnej kieszeni spodni pudełko "Gaulois" i idzie z nim pomiędzy mechaników: — Zapalmy sobie — powiada z ulgą.

Upał gorącym warem przepływa nad lotniskiem posiekanym kraterami od bomb. Czujka schodzi z przydrożnego wału i siada w rowie; tam zawsze bujna trawa pochłania nieco ciepła. Ludzie Karangevina uspokajają się także i właża z powrotem pod samoloty.

—Jakże będzie z tymi rybami? — powracam do przerwanego tematu.

Gomuliński mierzy mnie zaczepnym wzrokiem od stóp do głów. Nie może jeszcze wymiarkować czy podchodzę do niego z propozycją poważnej rozmowy czy z kpinami. Dla wszelkiej pewności woli się przygotować wewnętrznie na to drugie; stąd więc ten nieprzychylny błysk w oczach i ten uśmieszek pełen wyższości.

—Pogadamy jak wrócę z połowu — mruczy. — Ty mnie jeszcze nie znasz — odgraża się.

—Przysięgnij — mówię — że nie kupisz ryby.

—Ja! — bije się w piersi. — Jak ty tak możesz myśleć! Patrz tu — wyciąga z wnętrza kieszeni dziwną wiązaninę. — Jeszcze będąc w Cambrai schodziłem całe miasto, żeby dostać coś do łowienia i nic . . . ani jednego sklepu wędkarskiego. Szczęściem był muzyczny. Kupiłem tuzin strun do skrzypiec. Powiedziałem, że to dla orkiestry, ale patrzyli na mnie podejrzliwie, bo struny były wszystkie jednakowe. A haczyk to znowu inna historia . . . Noszę to ze sobą już z miesiąc, ale sam wiesz, dotychczas nie było rzeki.

Spojrzałem uważniej na przedmiot trzymany w ręku. Rzeczywiście struny. Struny powiązane ze sobą końcami bez żadnego kunsztu, całkiem ordynarnie.

—No a jak to było z haczykiem — nastaję, bo wyczuwam, że Gomuliński zdobył go również w niezwykły sposób.

—Ano, siedzę sobie w parku na ławeczce, a tu widzę przechodzi bokiem jakaś niczego sobie dziewica z brzdącem. Chłopyś jest ubrany po marynarsku i ma w klapie srebrną kotwiczkę. Jak tylko to zobaczyłem, odrazu mnie oświetliła myśl. Uśmiecham się do *mademoiselle* i mówię: *"Quel joli garçon"*. Dziewica subtelnie się płoni, ale ma się rozumieć, jest obrotna i zna się na rzeczach, więc odrazu popycha malca do mnie i musztruje go: — "Powiedz *bon jour Roger* . . . Widzisz jaki grzeczny pan . . . Widzisz jaki mundur . . . *C'est un aviateur . . . C'est un aviateur Polonais . . .*" Stąd, już rzecz jasna, przeszliśmy do porządku dziennego nad brzdącem i poruszyliśmy delikatnie zagadnienie istotne. Nie potrzebuję ci przecież tego tłumaczyć. Okazało się, że akurat oboje tęsknimy za rozmowami na poważne tematy, wobec czego nie pozostawało nic innego, jak zapewnić możliwość takiej rozmowy, co też oczywiście zrobiłem. A przed odejściem powiadam, że chcę mieć kotwiczkę chłopysia jako *souvenir* z tej niby racji, że to przez niego udało się nam tak szczęśliwie poznać. Dziewczyna chętnie przystała, a żeby malec nie beczał, dałem mu swój guzik od munduru, jeden z tych zapasowych, co mam w kieszeni. Mechanicy tylko trochę opiłowali tę kotwiczkę i haczyk gotowy . . . prawdziwe srebro — dodaje.

Obracam haczyk w ręku:

—Hm! — powiadam — A co z dziewczyną?

Stary obieżyświat uśmiecha się rozkosznie uśmiechem zwycięzcy i szczęśliwca:

—Przepraszam cię — odbiera mi wędkę i haczyk. — To pytanie do tej historii nie należy.

Czas płynie i Gomuliński w końcu jednak zdejmuje mundur:

—Uf, sparzyłem się! — sapie. — Co za niedoskonała maszyna jest z człowieka. Jakby to na przykład było pięknie, żeby nadmiar ciepła przemieniał się w ciele ludzkim w energię elektryczną. Na środku czoła powinien być reflektor, jak mają niektóre ryby głębinowe. Na kolanach mogłyby być oporniki do zagotowania na poczekaniu wody do golenia.

Gdy Gomuliński nie pracuje i nie śpi, wtedy często marzy. Marzenia jego zawsze sięgają w idealny świat, któryby on stworzył, gdyby mu dano czas i środki. Lubię słuchać tego gawędzenia, chociaż mi skóra cierpnie na myśl o zamieszkaniu w takim "idealnym" świecie.

Jeszcze nie raz podrywa nas łoskot silników, lecz za każdym razem jest to alarm fałszywy. Samoloty nie dbają o nas i podążają swoją drogą. O pierwszej godzinie przychodzą nas zmienić. Ponieważ wyrąbali nam i popalili prawie połowę maszyn, dywizjon wystawia patrole tylko kluczami. W ten sposób praca dla nas na dziś się kończy.

—Żebym nikogo z was nie spotkał na lotnisku po obiedzie — mówi Gomuliński do mechaników.

—Nie pleć głupstw — strofuję go. — Po pierwsze wiesz doskonale, że żaden z mechaników nie przyjdzie, do byłby głupi przyleźć tu, gdy ma wolne i może się byczyć nad rzeką. Po drugie, nawet gdyby przyszedł to i tak go nie spotkasz, bo ciebie tu nie będzie.

—Jesteś za logiczny — koryguje mnie. — Nie można być takim w życiu. To się może zemścić. Zauważ, że żony przeważnie zdradzają logicznych mężów — przerzuca sobie mundur przez rękę, nakłada czapkę zawadiacko na bakier i zaczyna wesoły marsz w kierunku kasyna, podśpiewując z tupetem: — Dziewczę ty, spełń me sny . . .

Gomuliński jest w tej chwili naprawdę szczęśliwy. Kroczy zamaszyście dziarskim, zawadiackim krokiem. Opuszcza lotnisko, gdzie tak łatwo o nabicie guza, a tak trudno o schronienie. — Zając pod miedzą ma lepszą opl. bierną — powiada. Znam doskonale ten wstręt Gomulińskiego do przebywania na lotnisku i rozumiem to. Pilot przynajmniej ma szanse wystartowania przed zbombardowaniem, mechanik pozostaje na otwartej płaszczyźnie i stanowi cel tak łatwy, jak sylwetki na poligonie, a bardziej przytem od niego intrygujący ze względu na ruchy. Stąd Gomuliński idzie zawsze do samolotów krokiem skazańca, a opuszcza je śpiewający i żwawy, jak konik polny. W służbie wytrwałby na lotnisku, świecąc wszystkim przykładem, choćby sam Goering przyleciał z całą *"Luftwaffe"*, poza służbą jednak nie dałby się skłonić za żadne skarby świata do pozostania ani chwili dłużej.

—Służba nie drużba — wzdycha co rana i gdy mu przepowiadają nalot, odpowiada ze stoicką miną: — Trudno, jak zginiemy, to przynajmniej po sportowemu. — Z tym pocieszeniem i z głębokim westchnieniem przyjmuje zwykle kierunek na lotnisko.

—Franiu, — zagadnąłem go — dlaczego mamy ginąć po sportowemu?

Zdziwił się, że pytam go o rzeczy tak proste i zaraz mi przypomniał to, o czym właściwie powinienem był wiedzieć. Gomuliński był śmiertelnym wrogiem sportów i twierdził, że jeszcze nigdy nie słyszał o wypadku, by sportowiec zginął naturalną śmiercią. Jeżeli pływak, to się topił, narciarz walił łbem o świerk lub kamień, alpinistę zasypywała lawina, myśliwca rozszarpywał dziki zwierz, a atletę trafiał szlag.

—Na lotnisku, uważasz, jestem sportowcem z przymusu — wyjaśniał mi. — Wprawdzie nie jestem myśliwym, ale zwierzyną i nie ja strzelam, ale strzelają do mnie, jednak to zawsze ma coś ze sportu.

Stosownie do swej zapowiedzi zaraz po obiedzie Gomuliński kopie robaki, zbiera je do puszki i z trzymetrowym kijem na ramieniu rusza raźnie w stronę rzeki. Towarzyszę mu oczywiście, robię jednak uwagę, że rybołóstwo jest także sportem.

—Naturalnie — przyznaje z zapałem i dodaje — nie ma reguły bez wyjątku. Nienawidzę sportów z wyjątkiem dwóch, to jest rybołóstwa i gry w bilard.

—Jak się to da pogodzić z teorią sportowej śmierci? — pytam.

—A cóż to, czy nie słyszałeś o wypadkach, że ryba stanie komuś ością w gardle.

—A jak z bilardem?

—To jeszcze łatwiej. W Mławie w oberży na rynku grał raz w bilard pan Zajączkowski z panem Popierałą. Gdy zaczęli dyskutować, jak należy grać przepisowo, pan Popierała trzepnął pana Zajączkowskiego bilardowym kijem w łeb, tak że tamten odrazu się wywrócił i nie chciał już więcej nic, ani bilardu, ani halby "Oświęcimia", który był zamówił, nie chciał nawet żyć. Odwieźli go prosto do trupiarni.

—To znaczy, że ciebie czeka albo udławienie rybą, albo wypadek jak z panem Zajączkowskim.

—Nie ma mowy — mówi gorzko. — Już Hitler postara się żebym nie dożył tego — głos jego drży ciepłem rozrzewnieniem nad sobą i smutkiem z rzeczy nieuniknionych.

Tak gawędząc, osiągamy rzekę. Siedzi już nad nią porucznik Chalmeaux goły, z chustką na głowie, czytając książkę. Chalmeaux jest w nieokreślonym wieku w granicach od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Całą swoją młodość spędził w głębi Afryki i Europa go śmiertelnie nudzi.

—Co on tu chce robić? — pyta mnie, ujrzawszy Gomulińskiego przywiązującego sznurek do kija.

Moja odpowiedź wywołuje zdziwienie, nie przesadzam, zdziwienie Chalmeaux, który już wszystko widział w swoim życiu i którego nic nie dziwi. Wzruszywszy ramionami wraca do książki bez słowa uwagi. Gomuliński jednak dostrzegł to wzruszenie ramionami i wskazując na Chalmeaux puka się znacząco w czoło.

Słońce pali; rzadkie cumulusy nie osłabiają żaru. Przed rozpoczęciem więc połowu Gomuliński zdejmuje z siebie wszystko z wyjątkiem krótkich gaci i czapki.

—No szykuj się — mruga do mnie. Znaczy to, że mam się przygotować moralnie na jego triumf.

Rozbieram się także z prawdziwą rozkoszą. Nieco dalej, w dole rzeki kąpie się kilku naszych. Jest tam mały wodospad. Napoprzek rzeki biegnie tama podwyższająca wodę. Woda przelewa się przez tamę przy różnicy poziomów około półtora metra. Masaż wodny ściąga amatorów kąpieli. Słyszę gruby głos Dubreila i piskliwy Pissotta.

W górze rzeki o jakieś sto metrów od nas stoi kilka barek zakotwiczonych przy brzegu. Dla ich kursowania pod przeciwległym brzegiem rzeki są potworzone śluzy. Właśnie płynęła jakaś barka, tak że widzieliśmy ich działanie. Operował jeden człowiek.

—Chytrze to skombinnowali — pochwalił Gomuliński nadziewając robaka na haczyk z takim wyrazem uwagi i pieczołowitości jakby właśnie temu robakowi czynił największą przysługę. Nasadziwszy i splunąwszy na niego, zarzucił wprawnym ruchem wędkę.

—Płacę sto franków jeżeli on złapie dziś choć jedną rybę — mówi Chalmeaux.

—Zrobione — odpowiada Gomuliński i kieruje przez moment swoją głowę w stronę Francuza. —



Niech pan szykuje pieniądze.

Ryby jednak zdają się być przebiegłe i nie zdradzają apetytu na robaka.

—Oczywiście — tłumaczy nam Gomuliński. — Właściwa pora do łapania ryb jest wczesnym rankiem lub pod wieczór. Ryba lubi siestę. O psiakrew! — uderza się dłonią po brzuchu. — Ucięła mię mucha. Tu są jakieś bardziej ostre i podstępne gady niż w Polsce. Ląduje na ciebie tak chytrze, że wcale jej nie widzisz ani nie czujesz.

—Zwróć uwagę gdzie cię ukłuła — mówię. — Jeżeli w okolicy włoska, jest to afrykańska włoskówka.

—Co to za diabeł? — pyta się wiedząc, iż mam w swojej głowie nieco wiadomości przyrodniczych.

—Jest to owad pokrewny *tse-tse*, żyjący w północnej Afryce i Małej Azji. Najczęściej spotyka się go w delcie Nilu. Został on zawleczony do Francji z wojskami Napoleona. Różni się tym od *tse-tse*, że nie napada na zwierzęta, lecz na ludzi, jest jednak niemniej od niej jadowity. Skutki ukłucia występują po kilku dniach. — Już miałem na końcu języka stereotypowe: "Ofiara traci apetyt", gdy się w czas powstrzymałem. To nie dla Gomulińskiego — Ofiara wpada w stan katalepsji, z której może wyzdrowieć albo i nie. Na ogół jednak wypadki ukłucia przez włoskówkę są bardzo rzadkie.

—Ale bujasz! — udaje zachwyt Gomuliński. — Jak ty bujasz! Gdzie ciebie tak nauczono?

—Nie przypuszczam przez moment, żeby to była włoskówka — ciągnę nie zmieniając tonu. — Prawdziwa włoskówka tnie najczęściej w okolicy pępka.

—Ha, ha! — śmieje się sztucznie Gomuliński — Widziałeś, że mnie ukłuła w pępek.

Jestem oburzony.

—Też masz pomysły! Jak mogłem widzieć skoro stoisz do mnie plecami!

Gomuliński zwraca się do Chalmeaux, który czytał książkę i nie znając polskiego nie miał pojęcia o czym rozmawialiśmy. Stękając i pomagając sobie gestykulacją — przy czym nawet wędka musiała pozostać przez chwilę sama sobie — Gomuliński przetłumaczył mniej więcej to co powiedziałem. — Dowcipny co! — zakończył wskazując na mnie.

Na twarzy słuchającego nie drgnął najmniejszy muskuł. Patrzył na Gomulińskiego jak się patrzy na człowieka, który wpadł w kabałę.

—*C'est vrai* . . . potwierdził — *Dans trois, quelquefois dans quatre jours il est fini. Caput* — pokazał omdlałą ręką na głowę i wywrócił przeraźliwie białkami oczu.

Gomuliński zamrugał niespokojnie powiekami:

—E, to nie była włoskówka — mruknął sobie na pocieszenie rozcierając dłonią ukłute miejsce. Nagle mu przyszedł na myśl ostatni argument: — A wy co! Większe golce ode mnie. Już wy mnie nie nabierajcie.

—Popatrz — powiedziałem — Chalmeaux ma cały brzuch zakryty gazetą, a ja pilnuję swego jak oka w głowie.

—Doktór powinien uprzedzić — żołądkował się jeszcze, ale to były już ostatnie podrygi konającego.

—Mówisz jakbyś nie znał doktorów — powiedziałem.

To go dobiło. Doktorów bał się i unikał jak zmory, a równocześnie nie miał do nich za grosz zaufania.

Ryba oczywiście odczuwała rozterkę rybaka i kpiła z przynęty. Kilka razy pływak drgnął, znurkował, ale po oderwaniu na haczyku nie było ani ryby ani robaka.

—Bydlę! — zadecydował Gomuliński.

—Kto? — zapytałem słodko.

Nabrzmiał na twarzy i zachłysnął się ogromnym haustem powietrza. Oczy rzuciły zabójczy błysk. To oznaczało, że zbiera mu się na dosadne uwagi pod moim adresem. Zanim jednak zdążył je przepuścić przez usta, usłyszeliśmy warkot samolotów. Samolotów lecących nisko. Samolotów, które dostrzegliśmy odrazu. Były to dwa klucze po trzy maszyny. Wypadły z nad lasu, zarysowały się na tle pól i szły lotem koszącym na północ od nas prostopadle do rzeki.

—Popatrz, ten pierwszy klucz zapomniał wciągnąć podwozia . . . ależ to głupcy! — dziwował się Gomuliński.

—Ju osiemdziesięt siedem! — wykrzyknąłem.

—Stuka — powiedział Chalmeaux miękkim głosem, jakby mówił o motylach.

Na lotnisku wystrzelono rakietę i zaraz zaczęły grać motory. Samoloty niemieckie trzymały kierunek wprost na lotnisko, doleciawszy jednak do rzeki rozdzieliły się. Klucz pierwszy — "Junkersy" — skręcił na południe, to jest wzdłuż rzeki i zdecydowanie na nas, klucz drugi — "Messerschmitty" — utrzymał poprzedni kierunek. Za chwilę z lotniska zaczęły bić działka. "Messerschmitty" wyciągnęły się w gęsiego. Nurkowce robiły to samo.

—Jak Boga kocham, oni lecą wprost na nas — mówił zdławionym głosem Gomuliński. — Won idioty! Co wy tu chcecie. Mówię, idźcie do jasnej cholery, póki jestem dobry — był wyraźnie przejęty i warga mu drżała.

Sylwetki brzydkie i groźne rosły gwałtownie w oczach. To wcale nie były przelewki. Skoczyłem do najbliższego rowu — szczęście, że był. Chalmeaux wykonał to jeszcze szybciej i sprawniej ode mnie. Gomuliński, jako że był najdalej przybiegł ostatni, zadyszany i trzęsący się ze złości.

—Ja p . . . taką zabawę! — warczał.

Chciał jeszcze mówić o dalszych swych uczuciach, ale mu przeszkodzono. Duży słup czarnego dymu rzygnął o jakieś dwieście metrów od nas w górę. Huk uderzył w piersi falą i przygłuszył. Zrobiliśmy się mali i przywarliśmy do ziemi. Za moment przyszły dalsze wstrząsy. W stronie lotniska wrzało od strzelaniny. Z hukiem i chrzęstem przemigiwały nad nami "Junkersy" po zrzuceniu swoich bomb.

—Tylko się ty draniu nie pomyl — mruczał Gomuliński pod adresem napastników. — Nie jestem ani samolotem, ani czołgiem, ani armatą.

Po kilku minutach wszystko się przewaliło. Działka i karabiny lotniskowe umilkły. "Messerschmitty" ostrzelawszy lotnisko dołączyły do "Junkersów" i popruły na północ. Nasze samoloty startowały i gnały za napastnikami.

Wyłaziliśmy z rowu otrząsając się z ziemi i wrażeń. Ja i Chalmeaux goli, Gomuliński w gaciach i służbowej czapce.

Nic nie rozumiałem o co Niemcom chodziło. Cel jak złoto, cel jak marzenie — nasze lotnisko podległo tylko sikawkom "Messerschmittów", które poszły tam wyraźnie, by przygłuszyć samoloty i obsługę. Zato cel główny miał się znajdywać o kilkaset metrów nad rzeką. Patrzyłem z wytężeniem w tamtą stronę i nic nie mogłem odkryć.

—Ależ to capy! — dziwował się Gomuliński — Zrzucać bomby na głupie barki!

Ujrzałem błysk światła.

—Chalmeaux — zapytałem — Co jest w tych barkach?

—O ile wiem, były tam materiały pędne — odpowiedział. — Czy są jeszcze, tego powiedzieć nie mogę.

Oczywiście z wędki budowanej z taką pracą i zapałem, wędki ze strun skrzypcowych i z romantycznych wspomnień nie było ani śladu. Popłynęła. Gomuliński stanął w dramatycznej pozie nad przewróconą blaszanką, z której pouciekały robaki, patrzył złym w ślad za Niemcami, wreszcie kopnął blaszankę nogą.

—Chalmeaux zatrzymaj sto franków — powiedział głosem tragicznym. — Nie będziecie mieć ryby.

Słońce ciągle paliło, a cumulusy stawały się rzadsze. Szliśmy ku barkom obejrzeć skutki bombardowania. Gdy Gomuliński zerknął raz i drugi w stronę rzeki, zrzucił szybkim ruchem czapkę z głowy i tak jak był w gaciach skoczył do wody. Takiej energii i zrywu jeszcze w nim nie widziałem; uczułem zdziwienie i obawę. Gomuliński tymczasem dał nura, wynurzył się, chwytał coś co mu uciekało, pariskał krzyczał do nas, żeby mu pomóc, wymyślał od głupców. Nic nie rozumiałem aż oprzytomnił mię coś rzuconego przez Gomulińskiego w naszą stronę. Była to ryba, prawdziwa, drgająca na trawie, błyszcząca srebrem. Wtedy oceniłem istotę rzeczy i dałem nura do wody także. Chalmeaux nie umiał pływać, więc został na brzegu. Któraś z bomb wpadła do rzeki i nagłuszyła moc ryb. Tu i tam widać było podłużne, białe wrzeciona pływające bezwładnie na powierzchni.

Tego wieczoru cały nasz dywizjon używał na rybach. Niestety białego wina nie było, popełnialiśmy świętokradztwo, podlewając kolację *"rouge ordinaire"*. Gomuliński był bohaterem dnia; w jego dziurce od guzika zatknięta była rozetka pochodząca ze złożonego stufrankowego banknotu, byłej własności Chalmeaux.

Gdy już mieliśmy iść spać, bohater dnia zatrzymał mnie na uboczu. Na jego twarzy pod powłoką rozbawienia i pogody ducha leżało omroczenie.

—Słuchaj no — zaczął. — Powiedz prawdę, jak to jest z tą włoskówką, bo mnie coś zaczyna koło pępka swędzić.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Wojna jest straszna . . .

Władek jest na urlopie. Więc żeby nie zmieniać trybu życia, bo to podobno szkodzi zdrowiu — ciągnie *whisky*. Wypił już dwa *double* i to naturalnie z mojej kieszeni. Nie widzieliśmy się chyba ze dwa lata, *whisky* więc koniecznie jest potrzebna i niezliczona ilość papierosów.

Malutki bar na Chelsea, do którego przez otwarte okno na gwałt wpycha się jakieś drzewo, przypomina mi znajomą knajpę w Lincoln. Władek myśli o tym samym bo nagle mówi:

—Zupełnie tu tak, jakbyśmy siedzieli u Saracena, nie? . . .

—Uhm — mruczę. I widzę w zamglonym szkle kieliszka szaroniebieskie odbicia naszych mundurów. Na wspomnienie tamtych, dobrych czasów robi nam się smutno. Więc żeby coś powiedzieć, pytam — co robi Joyce, ta Waafka z *Operation*. — Widujesz ją?

Władek chwilę myśli, a później z nagłą determinacją zamawia dwa *double* dwa duże piwa i syczy z boleścią:

—Wyszła za tego, za tego *Squadron-Leader'a* ze Scampton, wiesz? Chodził za nią cztery lata i miał białego "Daimler" *coupé*, co ty chcesz? Ja miałem tylko "Morrisa".

Serca nam ze smutku pociemniały.

Z Władkiem znamy się jeszcze od 40-go roku. Staliśmy wtedy na jednym lotnisku. On w Dywizjonie 300, ja pętałem się w 301-ym. Jak lotów nie było, całe bractwo właziło do samochodów i jechało się do knajpy, do Saracena — właśnie żeby nie zmieniać trybu życia.

Cóż to była za knajpa! *Barmaid'y* wykąpane, wyondulowane i pachnące. Prawdziwe, autentyczne kobiety!! Nawet można się było dotknąć — za *drinka*. Wódka też odstała, nie fałszowana, lodem. I cała *Bomber Command* ze wszystkich okolicznych lotnisk i *squadronów*. Nie było plotki, któraby tu nie doszła, nie było skandalu, któryby tam nie dotarł. Po wizycie u Saracena wiedzieliśmy zawsze wszystko: który Dywizjon przezbraja się pierwszy, kto idzie na jakie lotnisko, kto mordę nabił na samochodzie, kto z kim się puszcza i kto z rozpaczy się żeni.

A w małej knajpce na Chelsea jest tylko nas dwóch i mała, smutna dziewczyna.

Więc Władek wpuszcza łzę do kieliszka i prędko wylicza wszystkich co nie wrócili.

—Jeszcze dwa *double*! — I ratpem Władek się ożywia: — Popatrz — powiada — taka morowa wojna i już się skończyła. Cholera — klnie — taka ich mać! Pomyśl — powiada — byłem w *Squadronie* od początku prawie. Ferajna była jak złoto. Teraz — znajomego pyska nie zobaczysz, sami nowi. — Wypił nerwowym, szybkim ruchem kieliszek i ciągnie — Nawet maszyny nam podmienili. Ja "Lancastera" lubię, owszem, grat jest wybitny. Ale "Wellington", to wiesz, to był jak brat. Coś swojego, twojego. Taka rodzina.

Wyciągnął z kieszeni notes i zaczął w nim grzebać. Przez uprzejmość podsuwam mu duże piwo, on naturalnie zaraz je złopie do dna i smutny jak nagrobek szepcze mi do ucha:

—Słuchaj — powiada — dobry *Squadron* był. Najcięższe cele, najgorsze wyprawy, wtedy, gdy Niemcy pruli jak diabli. I myśliwcy i artyleria. Berlin i Ruhra, Bremen, Hamburg, Kilonia. I minowania, ta najgorsza ze wszystkich niska wojna, gdy nie wiesz nawet, kiedy cię sprują. Tyle się bractwa wykopyrtło . . . Ale Dywizjon był i jest.

Wytarł nos, zapalił papierosa i zajrzał bokiem do notesu:

—A wiesz — mówi — co Dyon zrobił? Przez cztery lata wojny odwalił 614-cie wypraw, wystawił 6.685 samolotów, przy naszych stratach, ty to rozumiesz? — Popatrzył na mnie znacząco i z rozczulenia wypił nowe piwo. Potem zamyślił się i zaczął wolno mówić:

——Dużo było spotkań, mnie dwa razy "Junkers" gonił, cóż chcesz, w nocy zaskoczyć łatwo, uciec też. Dużo było walk. Napruli i chłopaki "Junkers'ów". Przyznać nam tego nie chcą, ale swoje się wie, 9 zrąbanych napewno, 5 uszkodzonych. Miał Dywizjon swój czas. Szkoda żeś u nas nie był. Ty tylko się zastanów — wziął mnie za ramię — całe nasze lotnictwo zrzuciło w tej wojnie 36 milionów funtów bomb — a sam nasz Dywizjon ma blisko 30 milionów. I co ty powiesz? Taka piękna wojna i już się skończyła, psia mać!

Wypiliśmy znowu i czas biegł kołem wspomnień, znanych nam dawniej twarzy, przygód, ludzi. Przez otwarte okno szła noc i niósł się mokry, zgniły smród Tamizy. Przejął mnie dreszcz.

—Co robisz teraz — zapytałem — latasz jeszcze?

Władkowi pociemniały oczy:

—Czy latam? — powtórzył — a tak, na transport. Na początku — gniewnie podniósł głos — posłano nas na Holandię, na zrzuty żywności. Siedem wypraw tam poszło, 68 samolotów, gdy w naszych obozach ludzie siedzieli bez żarcia, zawszeni. Zwycięscy niewolnicy!

Uderzył pięścią w stół i widać, że go coś gniotło. Powrócił jednak do rozmowy, ale w głosie jego czaiła się gorycz.

—Teraz jest lepiej, dużo lepiej. Latamy z lekarstwami i z odzieżą, już dla naszych. Nareszcie. W końcu się czyjeś serce obudziło i pozwolili. Przecież potośmy bomby kładli na Niemcy, żeby wkońcu swoim pomóc. Aa, co tu dużo gadać — machnął ręką — jak jest co wieźć to i lecimy. Po to tu jesteśmy. Ładujemy te paczki z odzieżą i lekami i hulamy do Niemiec. Tam jak przylecimy, ładunek zabierają nasi, a my zamiast paczek zabieramy brytyjskich jeńców zwolnionych z niewoli i zapychamy do domu. Już mamy na koncie 900 takich pasażerów. Jak dotąd mieliśmy cztery wyprawy. Poszło 31 samolotów. Przywieźliśmy im wtedy około 70 tysięcy funtów paczek. To jest mało, ja wiem — przytaknął — ale będziemy latać dalej. Oni przecież muszą żyć, a my, musimy latać.

Gasimy niedopalone papierosy i skaczemy z wysokich stołków przy barze. Na duszy ciężko i mroczno. Smutna dziewczyna za ladą mówi smutnie: *Good-night* i nawet nie podnosi oczu. Skrzypią drzwi baru, gasną światła — jest noc. Oślepłe na chwilę oczy, wpijają się w ciemność boleśnie i z natężeniem. Idziemy razem, wolno. Po chwili zarysowują się kontury drzew i ciemne, malachitowe niebo rozbłyska emalią rozrzuconych w przestrzeni gwiazd. Wiatr szepcze w liściach drzew. Wtem, Władek chwyta mnie za rękę i ściska.

—Pamiątam — mówi — ostatni raz, gdy lądowałem w Niemczech, odszedłem na chwilę od maszyny, aby zapalić papierosa. Wtedy, jak spod ziemi, stanęła tuż przed mną, mała polska dziewczyna. Dziecko jeszcze, nie więcej, niż dziesięć lat miała. Licho wie, skąd się ona wzięła. Poznała orła na czapce i mówi, że matka w obozie, a ona poszła po jedzenie — bo głodni. Małe toto, wynędzniałe, obdarte, tylko się jej oczy świecą. Ojca na wojnie zabili — sama jest z matką. Mnie, jakby za gardło kto schwycił. Dałem jej te funty co miałem — nie dużo ich było — czekoladę. A dziecko, ta smarkula — buch, pocałowała mnie w rękę! Czy ty to rozumiesz?!

—Wojna . . . — zamyślił się — wojna? . . .

A potem zduszonym, chrapliwym głosem rzucił gdzieś w noc i w ciemność:

—Wojna jest straszna. Wiesz?

Na bulwar, na mosty, na miasto, niósł się zgniły dech Tamizy.

JERZY GŁĘBOCKI

Czy O.Z.N. zapewni światu pokój?

Przed kilku dniami nastąpiło wydarzenie, które wprawdzie przeszło bez większego echa w świecie, ale niemniej posiada spore znaczenie. Oto Senat St. Zjednoczonych — ten sam Senat, który 25 lat temu odmówił ratyfikacji Paktu Ligi Narodów i uniemożliwił przystąpienie Ameryki do Ligi — niemal jednomyślnie ratyfikował Kartę Zjednoczonych Narodów, uchwaloną parę tygodni temu w San Francisco. W ten sposób udział Stanów w nowej Lidze został zapewniony.

Jest to fakt bezsprzecznie doniosły, bez względu na to, jak się ocenia samą nową organizację i jej szanse zapewnienia pokoju. Jak za chwilę wskażemy, szanse te nie są zbyt wielkie, a Organizacja Zjednoczonych Narodów wydaje się w najwyższym stopniu niedoskonała. Ale nie zmienia to faktu, że ratyfikację Karty przez Senat należy powitać, jako fakt dodatni. Przypieczętowuje ona udział Stanów w organizacji międzynarodowej. Nie będzie można powiedzieć, tak jak przed ćwierćwieczem, że Ameryka zabiła organizację. Tego zarzutu Ameryka tym razem uniknęła.

Ratyfikacja ta oznacza zarazem, że jednak izolacjonizm amerykański — /to znaczy pogląd, że Ameryka powinna się wyłącznie zajmować swoimi sprawami/ — należy do przeszłości, przynajmniej jeśli chodzi o najbardziej skrajną jego formę. Niewątpliwie naród amerykański nie czuje się jeszcze w pełni zagrożony przez to, co się dzieje n.p. w Europie. Wciąż jeszcze ma przesadne wyobrażenie o swym bezpieczeństwie dzięki morzu, które go oddziela od europejskiej "zarazy", czy innych ośrodków zapalnych świata. Jest rzeczą znamienną, że w okresie dyskusji w Senacie ustawiono w pobliżu gmachu Kongresu model V2, aby uświadomić radzącym senatorom niebezpieczeństwo grożące dziś Stanom Zjednoczonym od nowej broni rakietowej. Niemniej przeto szybkie ratyfikowanie Karty przez Senat wskazuje, że nawet i senatorzy, słynni ze swej ostrożności, nie widzą już możliwości, by Stany Zjednoczone powróciły raz jeszcze do polityki odosobnienia.

Oczywiście można wysnuć inny wniosek, który także mieć będzie pewne uzasadnienie. Oto jeżeli nawet najbardziej izolacjonistycznie nastrojeni senatorzy z wyjątkiem dwu głosowali za ratyfikacją Karty, to widocznie uważali, że nie obowiązuje ona Stanów do zbyt wielkich poświęceń.

I to jest niestety prawdą. Właściwie Stany Zjednoczone, tak jak inne wielkie mocarstwa, uzyskały takie przywileje, a suwerenność ich uległa tak nieznacznemu ograniczeniu, że w gruncie rzeczy przez należenie do Organizacji nie spadają na wielkie mocarstwa żadne istotne obowiązki. Nawet bardzo izolacjonistycznie nastrojeni senatorzy mogli więc śmiało głosować za Kartą . . .

W każdym razie wejście w życie tej Karty jest obecnie zapewnione. W ciągu najbliższych miesięcy inne mocarstwa /i potrzebna ilość mniejszych państw/ niewątpliwie dokonają ratyfikacji. Organizacja Zjednoczonych Narodów zacznie działać. Warto więc zastanowić się jakie są jej możliwości, zalety i wady.

LIGA NARODÓW I O.Z.N.

Oczywiście naczelnym zagadnieniem jest i pozostaje pytanie, czy organizacja taka, jaką stworzono w San Francisco, może zapewnić trwały pokój. Oczywiście żadna organizacja, żaden aparat, choćby najbardziej doskonały, nie może sam w sobie zapewnić pokoju, tak jak najdoskonalsza nawet straż ogniowa, nie może zagwarantować, że nie będzie pożaru, lub najsprawniejsza policja, że nie będzie zbrodni. Nawet gdyby stworzono federację światową i jeden jakiś nad-rząd dla całej kuli ziemskiej, to jeszcze pokój nie byłby bynajmniej "murowany". Stany Zjednoczone były federacją, a jednak pogrążyły się w odmęt wojny domowej. Nie, gwarancji absolutnej pokoju być nie może.

Niemniej jednak z tego właśnie punktu widzenia trzeba oceniać twór z San Francisco. I niezależnie od tego, czy ratyfikują Kartę, czy też nie wedle tego sprawdzianu ustosunkują się do O.Z.N. mniejsze zwłaszcza narody, tak bardzo złaknione pokoju.

Na pozór; można by sądzić, że nowa Liga może bardziej skutecznie zapobiec wojnie, aniżeli dawna instytucja genewska. Na rzecz tego poglądu wysuwane są następujące argumenty:

1. W nowej organizacji będą uczestniczyły wszystkie potęgi światowe, co bardzo ją wzmocni. W dawnej Lidze nie było ani St. Zjednoczonych, ani Rosji.

2. Dawna Liga zezwalała w pewnych wypadkach na wojnę "legalną", podczas gdy obecnie wszelkie uciekanie się do wojny jest zakazane.

3. Rada Ligi mogła tylko zalecać państwom podjęcie sankcji przeciw napastnikowi, ale państwa nie były obowiązane zastosować się do tego wezwania. Teraz udział w akcji przeciw napastnikowi jest obowiązkowy.

4. W nowej organizacji istnieć będzie specjalny komitet sztabowy, który będzie przygotowywał akcję przeciw napastnikowi. Państwa z góry zobowiążą się dostarczyć pewnych kontyngentów wojska. W ten sposób ta nowa Liga wyposażona będzie w rzeczywistą siłę — otrzyma, jak mówią Anglicy, "zęby".

W teorii wszystko to jest prawdą. Niestety jest jedno małe, jednakże bardzo zasadnicze "ale", które w bardzo znacznej mierze przekreśla wszystkie wymienione zalety nowej Ligi. Jest nim słynne veto — prawo sprzeciwu.

VETO WIELKICH MOCARSTW

W Karcie O.Z.N. słowo "veto" nie figuruje. Jest ono ukryte w skomplikowanej formułce regulującej sposób głosowania w Radzie organizacji, będącej jej organem kierowniczym. Ale pozostało one utrzymane w całej rozciągłości, tak bardzo niebezpiecznej dla samej organizacji i dla pokoju świata. Nie zostało one ograniczone nawet w tych skromnych granicach, w jakich dyskutowano je w San Francisco, gdzie sama idea veta nie była niestety w ogóle w sposób kategoryczny zaatakowana.

Na czym polega to veto, z którego korzystać będą mogły w nowej organizacji wielkie mocarstwa? Sprawa jest bardzo prosta.

Przede wszystkim żadna akcja nie może być podjęta przeciw napastnikowi bez zgody wszystkich t.zw. wielkich mocarstw w liczbie pięciu. Tak więc każde z wielkich mocarstw może udaremnić akcję dla ukarania czy powstrzymania napaści. Oczywiście oznacza to, że o jakimkolwiek wystąpieniu przeciw wielkiemu mocarstwu, które dopuściło się napaści mowy być nie może. Co więcej, również małe państwa mogą bezkarnie napadać na inne państwa, o ile tylko zapewnią sobie protekcję wielkiego mocarstwa, które swym vetem uniemożliwi jakąkolwiek akcję zbiorową przeciw napastnikowi.

Na tym tle cały imponujący aparat akcji zbiorowej, jaki uchwalono w San Francisco, staje się więcej niż wątpliwy. Ostatecznie historia uczy, że tylko wielkie mocarstwa wywołują wojny. I jeśli organizacja nie będzie w stanie takiej agresji zapobiec, to jej wartość automatycznie bardzo zmaleje.

Bardzo wymowne są pod tym względem doświadczenia ostatnich lat dwudziestu. Jest rzeczą oczywistą, że taka organizacja, jaką stworzono obecnie, nie mogłaby powziąć żadnych kroków dla powstrzymania napaści japońskiej na Chiny lub też przeciw Włochom gdy zaatakowały one Abisynię. Nawet wysłanie komisji w rodzaju tej, jaką w 1931 r. wysłano z Ligi Narodów do Mandżurii, nie byłoby możliwe.

Liga genewska chlubiła się tym, że zdołała udaremnić w zarodku wojnę między Bułgarią, a Grecją grożącą w roku 1925. Teraz, po 20 latach, znowu mnożą się incydenty na granicy bułgarsko-greckiej. Ale tym razem nowa Liga nie będzie w stanie zagrozić napastnikowi, czy choćby badać na miejscu przyczyn konfliktu: veto jednego mocarstwa, zainteresowanego w tym, aby protegowane przezeń państwo postawiło na swoim, może udaremnić wszelką interwencję . . .

CENA UDZIAŁU ROSJI

Nasuwa się pytanie dlaczego tak niebezpieczna zasada veta została przyjęta. Jak wiadomo, domagała się tego Rosja. Ale dlaczego inne państwa zgodziły się na to veto, choć wiedzą, że odbiera ono O.Z.N. niemal całe znaczenie? W szczególności dlaczego wyraziły swą zgodę mniejsze państwa, które w każdym razie nie mają, nic do zyskania dzięki vetu?

Otóż miały one w San Francisco do wyboru: albo zgodzić się na veto w całej rozciągłości, tak jak domagała się go Rosja, albo też pogodzić się z tym, że znowu nie będzie organizacji z udziałem wszystkich wielkich mocarstw. Nie było bowiem żadnej wątpliwości, że Sowiety czynią z veta warunek swej przynależności do organizacji. Stały one na stanowisku, że należeć będą tylko do organizacji, którą będą przez swoje veto kontrolowały, choćby olbrzymia większość członków była przeciwnego zdania.

Na stworzenie organizacji bez Rosji, inne wielkie mocarstwa i mniejsze państwa nie chciały się zdecydować. Musiały więc pogodzić się z vetem, choćby nawet doskonale zdawały sobie sprawę z jego niebezpieczeństw.

Olbrzymia większość państw zgromadzonych w San Francisco wychodziła z założenia, że lepsza taka organizacja, niż żadna. I temu rozumowaniu organizacja zawdzięcza swe istnienie.

Na rzecz tego poglądu wysuwa się przede wszystkim argument, o którym była już mowa na wstępie, a mianowicie, że w ten sposób zapewniono przynajmniej udział Ameryki w jakiejś organizacji międzynarodowej, po drugie zaś, że choćby skuteczna akcja przeciw napastnikowi nie była możliwa, to jednak stworzono forum dla publicznego dyskutowania różnych zagadnień międzynarodowych.

Takim forum będzie przede wszystkim Zgromadzenie ogólne członków O.Z.N., w którym reprezentowane będą wszystkie państwa należące do organizacji i to na jednakowych prawach. Zakres kompetencji Zgromadzenia został nieco rozszerzony w porównaniu z projektem z Dumbarton Oaks. Rosjanie próbowali jak najbardziej ograniczyć możliwości dyskusji na Zgromadzeniu, ale udało im się to tylko częściowo. W rezultacie istnieje — przynajmniej w teorii — możliwość zmobilizowania na Zgromadzeniu opinii publicznej świata przeciw państwu prowadzącemu politykę agresji. Niektórzy sądzą, że w ten sposób da się powstrzymać agresora, jak również że veto w praktyce nie znajdzie zastosowania, gdyż za pierwszym razem gdy jakieś mocarstwo będzie chciało zrobić zeń użytek, organizacja po prostu się rozleci.

DZIECKO SWOJEJ EPOKI . . .

Trudno jednak dziś liczyć na to, że państwa zechcą skorzystać z przysługującego im prawa i mówić na Zgromadzeniu prawdę bez osłonek. Że znajdą się odważni mężowie stanu, którzy podniosą protest przeciw gwałtom i zbrodniom, jakich widownią jest dziś Europa.

Każda organizacja międzynarodowa jest wyrazem swojej epoki. Liga Narodów, która formalnie gwarantowała swym członkom niepodległość i nietykalność, była wyrazem okresu, w którym zatriumfowały szczytne hasła Wilsona: samostanowienia narodów, zbiorowego bezpieczeństwa, demokracji w życiu międzynarodowym. Dziś wszystkie te zasady są porzucone, ideały z przed 25 lat — podeptane. Zamiast samostanowienia — mamy podbój narodów, zamiast demokratycznej równości — dyktaturę kilku mocarstw. Gdy hasłem Wilsona były "jawne pakty, jawnie zawarte", dziś hasłem przyświecającym narodom w Jałcie czy Poczdamie są "tajne układy, potajemnie zawarte". Świat cofnął się niebywale wstecz.

Na tym tle wydaje się czymś niezwykłym, że w ogóle może powstać jakaś organizacja międzynarodowa, nawet tak niedoskonała, jak ta, którą stworzono w San Francisco. Natomiast prawdziwa organizacja międzynarodowa, godna tej nazwy, wydaje się w dzisiejszej sytuacji niemożliwa.

ALEKSANDER BREGMAN

P.S. Rozważania powyższe były napisane przed ujawnieniem wynalazku bomby atomowej. Wynalazek ten zapoczątkował nową erę historii ludzkości i wszystkie zagadnienia związane z pokojem i wojną muszą odtąd być rozpatrywane w świetle tej rewolucyjnej przemiany. Armie, floty, czy powietrzne armady mogą stracić niemal wszelki sens. Nowa wojna może naprawdę oznaczać koniec cywilizacji — koniec świata. Problem uniknięcia jej staje się bardziej doniosły niż kiedykolwiek.

Organizacja Zjednoczonych Narodów, stworzona w San Francisco była wysoce niedoskonała nawet z punktu widzenia epoki, która dobiegła końca 6 sierpnia 1945. Tym bardziej rażąca jest jej bezsiła w zestawieniu z nieograniczonymi możliwościami nowej ery. Całkowicie nowe ujęcie zagadnienia wydaje się więc nieodzowne. Co więcej: niemożliwe jeszcze wczoraj, może ono stać się możliwe dziś.

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE LOSU POLAKÓW WYZWOLONYCH W NIEMCZECH

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do licznych reportaży opisujących ciągle złą sytuację w jakiej znajdują się Polacy w Niemczech, pragnę dowiedzieć się za pośrednictwem pańskiego pisma czy są wysyłane książki /podręczniki i inne/ Polakom w Niemczech w ogóle, a zwłaszcza młodzieży, a następnie czy są robione energiczne starania o sprowadzenie do W. Brytanii z Niemiec jak największej liczby chcących się uczyć.

Pozwalam sobie wysunąć parę konkretnych propozycji: 1/ Zorganizowanie ośrodków szkolnych; 2/ Druk podręczników; 3/ Sprowadzenie z Niemiec przyszłych uczniów.

1/ Na terenie W. Brytanii należy zorganizować jeden lub więcej dużych ośrodków szkolnych i należycie zaopatrzyć je we wszystkie dostępne pomoce naukowe. Ośrodek taki składałby się n.p. z liceum, gimnazjum i szkoły powszechnej. Ośrodki te najlepiej by było ulokować w miastach uniwersyteckich, a to ze względu na specjalne pomoce naukowe.

2/ Należy też wzmóc do maximum druk podręczników. Sprawa zdaje się jeszcze niedomagać, co sam bezpośrednio odczuwam, a przecież teraz jest najwyższy czas na przygotowanie największej ilości podręczników dla szkół, które mogą powstać z tygodnia na tydzień, a których potrzeba jest dziś olbrzymia.

3/ W międzyczasie należy wprowadzić jak najwięcej Polaków z Niemiec i dać im naukę, a innym pracę. Organizowanie grup szkolnych pomiędzy młodzieżą polską w Niemczech nie powinno zająć zbyt dużo czasu, tym bardziej, że organizatorów można znaleźć w samych Niemczech i to rutynowanych pedagogów z Polski.

Jako młodego interesuje mnie przede wszystkim los moich koleżanek i kolegów, gdyż my młodzi będziemy budować przyszłą Polskę, gdy powstanie z niewoli. Do tej pracy trzeba się jednak przygotować. Ci, którzy byli na wolności, mieli czas, warunki, możliwości nauki. Obowiązkiem każdego z nas jest teraz dołożyć wszelkich starań, by ci, którym wojna przerwała naukę, mogli ją kontynuować, póki jest czas i są na to warunki.

Do urzeczywistnienia przedstawionych projektów rzecz jasna, trzeba ofiary bez reszty ze strony tych, którym jest dobrze dla tych, którym jest źle. Potrzebna więc jest nie tylko ofiarność społeczeństwa, ale i energiczne i wyczerpujące wykonywanie obowiązków przez kierowników i pracowników resortów zajmujących się wyżej poruszonymi problemami.

Będę się cieszył, jeżeli sprawy, które poruszam, są już daleko na dobrej drodze, lecz jeżeli nie, to trzeba, żeby ruszyły one odrazu z miejsca.

Rzecz ta jest tak pilna, że nie może czekać.

Załączam wyrazy szacunku,

Andrzej Wojciechowski

W SPRAWIE DEMONSTRACJI NA PLACU GRZYBOWSKIM I ŚMIERCI STEFANA OKRZEI

Szanowny Panie Redaktorze,

Londyńskie pisma polskie docierają do osiedli uchodźstwa polskiego w Afryce Wschodniej ze znacznym opóźnieniem i dlatego dzisiaj dopiero mogę sprostować nieścisłości, które zakradły się do artykułu p. Józefa Żmigrodzkiego p.t. "Sztandarowe nazwiska Warszawy", w numerze z d. 4 listopada r.z. "Polski Walczącej".

Autor myli się, twierdząc, iż Stefan Okrzeja padł od kuli carskiej na Placu Grzybowskim. W rzeczywistości rzecz przedstawia się jak następuje:

Pierwszy po roku 1863 zbrojny odruch znany pod nazwą "Grzybów" zorganizował Józef Kwiatek, broń zaś z ówczesnej Galicji dostarczył do Warszawy Józef Piłsudski. Być może, że Stefan Okrzeja, jako członek Organizacji Bojowej P.P.S. był na Placu Grzybowskim w d. 14 listopada 1904, w niedzielę, ale ani padł tam od kuli carskiej, ani nie został aresztowany. Spośród znanych później w Polsce osobistości prócz Kwiatka brali udział w demonstracji na Grzybowie Florian Sławoj-Składkowski, wówczas student medycyny, późniejszy generał i Premier Rządu R.P. oraz późniejszy senator i burmistrz Pruszkowa Stanisław Gruszczyński.

Na Grzybowie zatrzymano kilkanaście osób, którym wytoczono proces. Wśród aresztowanych znalazł się także członek P.P.S. Stanisław Kwarto, Żyd z pochodzenia. Procesowi nadano tytuł "Sprawa Stanisława Kwarto i towarzyszy", ponieważ władzom carskim zależało na tym, aby demonstrację na Grzybowie przedstawić jako "robotę żydowską".

Charakterystyczne dla ówczesnych metod i rygoru stosowanego w więzieniach carskich jest to, że więźniowie przebywający za inne "przestępstwa" za murami Cytadeli, a pomiędzy innymi i niżej podpisany, już wieczorem dnia 14 listopada wiedzieli od wartowników więziennych o wypadkach na Grzybowie. Za pełnowartościowe ruble carskie straż więzienna przemycała nie tylko "grypsy", papierosy i wódkę, lecz także wiadomości z miasta. Jakże daleko odbiegły od ówczesnych stosunków więziennych dzisiejsze pod kierownictwem N.K.W.D.! A przecież i tamte nie były sielanką!

Stefan Okrzeja został aresztowany w 1905 roku po rzuceniu bomby do 12-go komisariatu policji na Pradze. Zamach na komisariat nie był celem samym w sobie, lecz chodziło o wywabienie na miasto ówczesnego ober-policmajstra Warszawy barona Nolkena, głośnego z aktów znęcania się nad uwięzionymi. Komisariat 12-y wybrano zaś dlatego, że i tamtejszy komisarz wraz z podległym mu sztabem policjantów wyróżniali się szczególnym sadyzmem.

Manewr udał się i Nolken po otrzymaniu wiadomości o zamachu na komisariat, wyjechał powozem z ratusza w stronę Pragi. Na wprost Zamku, gdy u wylotu ulicy Mariensztat powóz, skręcając z Krakowskiego Przedmieścia na Zjazd, zwolnił bieg, oczekujący bojowcy obsypali Nolkena gradem kul z rewolwerów. Satrapa miał szczęście, gdyż skończyło się na utracie tylko jednego oka. Nolken wkrótce podał się do dymisji i opuścił Warszawę, ustępując miejsca Meyerowi.

Okrzeja stanął przed sądem oskarżony o działalność terorystyczną, za co groziła kara śmierci. O ile mnie pamięć nie zawodzi, bronili Okrzeję przed sądem adwokaci Leon Papieski i Kazimierz Sterling, słynni w owych latach obrońcy w procesach politycznych. W ostatnim słowie Okrzeja cisnął sędziom w twarz wyzwanie, że walczy o Niepodległość Polski i o wyzwolenie robotnika polskiego. Wie co go czeka, ale po nim przyjdą tysiące innych, którzy walkę tę podejmą.

Sędziowie oczywiście wydali wyrok śmierci. Gdy Okrzeja stanął pod szubienicą na stokach Cytadeli, ostatnim jego okrzykiem było "Niech żyje Polska Niepodległa".

W imię prawdy historycznej proszę o zamieszczenie niniejszego listu na łamach "Polski Walczącej".

Żałuje, iż autor mimowoli pomniejszył zasługi Stefana Okrzei, a mógł przed oddaniem artykułu do druku sprawdzić rzecz u przebywających w Londynie pp. Tomasza Arciszewskiego lub Jana Kwapińskiego. Nikt lepiej od nich nie mógłby go w tej materii poinformować.

Racz przyjąć Szanowny Panie Redaktorze zapewnienie szacunku.

Roman Boski

długoletni współpracownik "Robotnika" i b. vice-prezes Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich, obecnie w Makindu /Kenya/.

TOWARZYSZ BRONI

Armia Krajowa uderza w Gestapo

Wśród licznych, uciążliwych przeszkód, jakie Armia Krajowa napotykała na drodze swego rozwoju, Gestapo nie należało do mniejszych.

Z chwilą rozciągnięcia okupacji na cały Kraj — Polskę pokryła sieć Gestapo — niemieckiej policji politycznej. Sieć ta była dość gęsta i bardzo niebezpieczna dla podziemnej organizacji, opierającej się wrogowi.

Gestapo — to nie tylko SS i SA, znane ze swych okrucieństw. To również policyjne urzędy niemieckie, nadzorujące całokształt życia okupowanego Kraju. Za każdym urzędnikiem policji niemieckiej — kryły się podstępne macki, usiłujące wglądać w nurt podziemnego życia. Mowa o przeróżnego rodzaju szpiclach, konfidentach, agentach i tym podobnych ciemnych typach, inkasujących co dnia owe przeklęte 30 srebrników Judasza.

Armia Krajowa uderzała również i w tych sługusów Gestapo, którzy usiłowali przenikać w życie ludności polskiej. Tępienie obcych agentów, konfidentów i wszelkiego rodzaju szpiclów — było konieczne przede wszystkim w większych ośrodkach miejskich, jak Warszawa, Lwów, Kraków, gdzie z natury rzeczy męty tropicielskie łatwiej mogły się maskować. Uderzano w agentów Gestapo i na prowincji. W pewnym okresie znana była akcja oczyszczająca w województwie Warszawskim, Lubelskim i Kieleckim.

Jako jeden ze sposobów dotkliwego gnębienia ludności Gestapo — szeroko stosowało wysyłkę ludzi na roboty. W ten sposób maszynie niemieckiej dostarczano pracującego niewolnika a z okupowanego terenu wyzbywano się elementów teraźniejszego czy przyszłego niezadowolenia. Słusznie rozumowano, że w elementach tych tkwiła siła stawianego oporu.

Ażeby przeciwstawić się tym praktykom — Armia Krajowa obmyśliła i wykonała rzecz niesłychanie prostą. Mianowicie: niszczenie aktów w urzędach gminnych i w urzędach pracy.

Na wiosnę 1944 roku pewnego dnia zaatakowane zostały urzędy gminne w rejonie podstołecznym. Podpalono biura gminne w Legionowie i Otwocku w powiecie warszawskim. Inne urzędy gminne w powiecie zostały opanowane, akta poniszczone. Działo się tak w urzędach gminnych w Falenicy, Karczewie i Wiązowni.

W parę dni potem akcja nawróciła. Zdemolowane zostały biura urzędów pracy w Wilanowie, Jeziornie, Piasecznie i Pustelniku. Podobna akcja objęła całość okupacji.

Gestapo pozbawione zostało spisów, które umożliwiały wysyłkę ludności polskiej na pracę przymusową do Rzeszy.

Do mego munduru

Ojcu poświęcam

Chciałbym ci coś powiedzieć, tak
zwięźle, po prostu,
Bez poezji wyłogów, szabel,
białych róż.
Bez dziewczyny i konia,
zwycięstwa i ostróg,
Że chociaś mi spowszedniał,
lubię cię i już,

Może głupio właściwie, że piszę
ci wierszem,
Mója brudna, codzienna,
ordynarna prozo.
Lepiej splunąć i zakląć
świństwem jakimś pierwszym,
Dobranym ze słownika z okopów
nad Mozą,

Wierzę, że Ci przyjemność choć
niewielką sprawi,
Takie słówko żołnierskie.
z "cholerą" lub bez,
Tak jak wtedy, gdy brudni,
spoceni i krwawi
Klęliśmy sobie w rowach
w marszu na Falaise.

Teraz, odprasowany, z krzyżem
i gwiazdkami,
Objaśniając "to lufa, tam wylot,
tu wlot",
Pojąć musisz — umowa stoi
między nami,
Żeś droższy był mi wtedy, gdyś
wchłaniał mój pot.

JERZY JAN ZALESKI

Bonnie Charlie — wnuk Sobieskiego

Szkoci przygotowują się do obchodu dwusetnej rocznicy ostatniego powstania szkockiego. Rozpoczęło się ono w Highlandach latem 1745 roku. Na czele powstania stanął ostatni pretendent do tronu z dynastii Stuartów. Był nim książę Karol Edward, przez matkę swoją, Klementynę, wnuk naszego króla Jana III Sobieskiego, zwycięzcy spod Wiednia.

W pamięci szkockiej młody pretendent nosi uczuciowe miano "Bonnie Charlie", ponieważ książę Karol Edward odznaczał się urodą i z usposobienia był romantyczny.

Urodzony 31 grudnia 1720 roku — Karol Edward wylądował na zachodnim wybrzeżu Szkocji w lipcu 1745 roku. 19 sierpnia 1745 roku na zgromadzeniu klanów w Glenfinnan dał hasło powstaniu, podnosząc królewską chorągiew Stuartów.

W uroczystościach rocznicowych obecnie weźmie między innymi udział przywódca Klanu Cameron of Locheil, oraz Książę Atholl — Lord James Stewart Murray. Są to w prostej linii potomkowie najbliższych stronników Pięknego Księcia. Lord James Stewart Murray jest "naszym lordem". Znacie go bardzo dobrze, bo jak najżyczliwiej odnosi się do żołnierzy polskich, będąc jednym z głównych opiekunów Domu Żołnierza polskiego w Edinburghu.

Zrazu powstanie górali szkockich miało przebieg pomyślny. Młody Stuart-Sobieski zgromadził przy sobie wcale licznych zwolenników. Zdobył na ich czele Edinburgh i ruszył na Londyn. Doszedł do Derby, skąd, pod naciskiem górali, pragnących powrotu z łupami do kraju — zawrócił do Szkocji.

Anglicy tymczasem wysłali przeciwko Pretendentowi znaczniejsze siły pod dowództwem Księcia Cumberland. Pod Culloden, niedaleko Inverness, nastąpiła krwawa bitwa. Szkoci ponieśli klęskę, zaś Karol Edward był zmuszony czas pewien ukrywać się, a następnie wydobył się ze Szkocji do Francji, gdzie zmarł w roku 1789.

Tak zakończyła się ostatnia wojna szkocko-angielska. Klęska Stuarta wpłynęła na załamanie się systemu klanowego. Bo aczkolwiek nie wszystkie klany przyłączyły się do powstania, to jednak po zwycięstwie Cumberlanda na moczarach Culloden — kazano klanom wydać broń, a nawet zakazano ubierania się w kilty. Zakaz nienoszenia stroju klanowego potem zresztą zniesiono.

Po Culloden nigdy już klany szkockie nie wróciły do tej świetności i znaczenia, jakie były ich udziałem przez długie wieki. Dzisiaj na wrzosowiskach Culloden wznosi się usypany z kamieni kopiec, upamiętniający pobojowisko. Szkoci mówią, że to jest grób klanów.

Z miejsc postoju

Dnia 22 lipca 1945 roku w miejscowości L. w Szkocji, odbyło się zakończenie kursu dla podoficerów świetlicowych. W dniu zakończenia odbyła się uroczysta msza święta, odprawiona przez Dziekana DJWWB, ks. Ludwika Bombasa. Gen. dyw. Janusz Głuchowski, Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, wygłosił przemówienie, w którym nakreślił obowiązki podoficerów świetlicowych, wzywając absolwentów kursu do szczególnie wytężonej pracy w dzisiejszym tak ciężkim dla Polski położeniu.

Kurs wydał jednodniówkę pod tytułem "Świt", której łamy poświęcono omówieniu interesujących kursistów zagadnień pracy oświatowej. W jednym z artykułów czytamy:

" . . *obowiązkiem społecznym prawdziwie wykształconego człowieka jest iść na spotkanie tym chęciom, pomagać szerzeniu oświaty wszystkim, którzy tego pragną. Dostęp do wiedzy nie może być dzisiaj tajemnie strzeżony przez nieliczne warstwy uprzywilejowanych. Oświata jest kluczem na wszelkie niedomagania ustrojów społecznych, nieraz jedynym punktem wyjścia. Zawsze wychodzi na dobre całemu społeczeństwu*".

W organizacji kursu brał wydatny udział Światowy Związek Polaków z Zagranicy. Spory odsetek absolwentów stanowili synowie Polonii francuskiej.

25 Pomorski Baon Piechoty, wydaje od dłuższego czasu własne pismo , powielane na cyklostylu. Pismo nosi tytuł "Mewa". Numer 12 wydawnictwa ukazał się z datą 22 lipca r.b., przynosząc mnóstwo interesujących materiałów w rozszerzonej, obficie ilustrowanej objętości. Artykuł wstępny tego numeru "Mewy" zawiera następujące motto z Kazimierza Przerwy Tetmajera:

Chcesz być czymś w świecie,
to się — ucz,
Abyś nie zginął w tłumie,
Nauka, to potęgi klucz,
W tym moc, kto więcej umie.
Bo wiedz, nie popchną tego wstecz,
Ni nie pochłoną fale,
Kto umie choćby jedną rzecz,
Lecz umie doskonale.

Jednym z najbardziej godnych podkreślenia dowodów ciągłości tradycji polskiego wojska, jest depesza, jaką otrzymał niedawno Dowódca 4 Dywizji Piechoty, gen. bryg. Kazimierz Glabisz — od gen. bryg. Bronisława Ducha.

Gen. Bronisław Duch obecnie dowodzi Dywizją Strzelców Karpackich, w II Korpusie we Włoszech. Podczas walk 1940 roku na ziemi francuskiej gen. Duch dowodził ówczesną 1 Dywizją Grenadierów, która wspaniale się odznaczyła.

W 4 Dywizji Piechoty, stacjonującej obecnie w Szkocji, jedna z Brygad nawiązuje do bohaterskiej tradycji grenadierów polskich z kampanii 1940 roku. W rocznicę niezapomnianych, wspaniałych walk Dywizji Grenadierów, jej ówczesny Dowódca przekazał następujące słowa w depeszy do Dowódcy 4 Dywizji:

—Z okazji piątej rocznicy walk Pierwszej Dywizji Grenadierów łączę się z Wami w hołdzie dla poległych we Francji i ślę wszystkim najlepsze życzenia. Bądźcie nadal silni. Przyjdzie wielki dzień pełnego powodzenia naszej sprawy. Duch, generał.

Dnia 28 lipca 1945 roku w Edinburghu odbyło się piąte doroczne walne zgromadzenie delegatów Towarzystwa Szkocko-Polskiego.

Przewodniczył Lord Elgin, mówiąc w zagajeniu między innymi wiele serdecznych słów na temat bojowego dorobku Polskich Sił Zbrojnych i podkreślając fakt, że wsławione bojami na kontynencie 1 Dywizja Pancerna oraz Brygada Spadochronowa, wyszkolone i zorganizowane zostały w Szkocji. Lord Elgin podkreślił również ogromne znaczenie bieżącej pomocy na rzecz Polski i Polaków.

Sprawozdanie z działalności sekretariatu oraz sprawozdanie finansowe Towarzystwa składał p. Charles H. Burrows. Ze sprawozdania wynika, iż Towarzystwo zdołało skupić w swych szeregach 9,810 osób w 17 okręgach terenowych. Na czołowym miejscu działalności organizacyjnej stoi Fifeshire. Wpływy na Fundusz budowy Szpitala imienia generała Sikorskiego wyniosły do dnia 30 czerwca 1945 roku £18,480 sh.2.

Po udzieleniu absolutorium ustępującym władzom Towarzystwa, dokonano wyboru nowego Zarządu Głównego.

Po obradach odbył się wspólny obiad, w którym uczestniczył Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii gen. dyw. Janusz Głuchowski. Podczas obiadu znany pisarz Marian Hemar wygłosił prelekcję, poświęconą twórczości wielkiego pisarza angielskiego, z urodzenia Polaka, Józefa Conrada Korzeniowskiego.

Pierwsza rocznica wybuchu powstania warszawskiego stała się na miejscach postoju w Szkocji głębokim przeżyciem dla żołnierzy. Księża kapelani odprawili nabożeństwa żałobne na intencję poległych obrońców Warszawy w kościołach garnizonowych i kaplicach polowych miejsc postoju. Na nabożeństwo w Edinburgh przybyła bardzo licznie miejscowa kolonia polska i wojsko z Dowódcą Jednostek Wojska w Wielkiej Br.

Przed frontem oddziałów odczytany został rozkaz nr. 9 Naczelnego Wodza gen. dyw. Tadeusza Bór-Komorowskiego, poświęcony powstaniu.

W oddziałach odbyły się obchody, organizowane staraniem żołnierzy. Szczególnie udatnie wypadły one w Centrum Wyszkolenia Artylerii, oraz na terenie 4 Dywizji Piechoty. U artylerzystów program wypełniła czołówka teatralna Dowództwa Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, zwana "Czwórką Kaprali", pod kierownictwem ppor. Antoniego Wasilewskiego /Tony/.

Podczas odbywanych obchodów nawiązywano żywem słowem do rocznicy. W wielu oddziałach dzielili się osobistymi wspomnieniami z przebiegu walk w Warszawie — żołnierze Armii Krajowej, uczestnicy tych walk.

Spadochrony "na składzie"



Składanie spadochronu



Spadochron gotowy do użycia



Spadochron "w użyciu"



NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE
w pierwszą rocznicę śmierci

ś. † p.

ZBIGNIEWA
ISKRZYŃSKIEGO

ppor. I Dywizji Panc., wychowanka Gimn. Stefana Batorego w Warszawie, Kawalera Krzyża "Virtuti Militari", poległego pod Falaise na wzgórzu 262, w dn. 20 sierpnia 1944 r. jedynego i ukochanego syna, oraz Jego przyjaciela

ś.p. JANA TRZNADŁA
ppor. nawigatora, dwukrotnie odznaczonego "Krzyżem Walecznych", który zginął śmiercią lotnika w dn. 16 sierpnia 1944 r.

odbędzie się w Kościele Polskim przy Devonia Rd. dnia 20 sierpnia b.r. o godz. 9.30, rano o czym zawiadamia

Matka, Kazimiera Skalska

POSZUKIWANIA

Panie Maria POPŁAWSKA, CZYSTOWSKA, Władysława ze SŁOTWIŃSKICH CZYSTOWSKA /lat 27/ i panna TARGOSZÓWNA poszukiwane. Ewakuowane 2 października 1944 r. z Warszawy, /Żolibórz/ do obozu przejściowego w Pruszkowie, potem zapewne do Ravensbrück. Jakąkolwiek wiadomość prosimy listem do British Monomark Ltd., BM/POLSKI, London, W.C.1.

LIDIA BERNACZEK przebywająca obecnie w Marsylii poszukuje córki MARII BERNACZEK, ur. 29.7.1923 r. w Bydgoszczy. Jeśli ktokolwiek posiada jakieś wiadomości, proszony jest o przesłanie ich do red. "Polski Walczącej".

NADRATOWSCY Kazimiera i Stefan z Warszawy poszukują krewnych i znajomych. Pisać na adres: Brunświk, Kleine-Burg 8. albo Delegatura Polska.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,236

Oficerowie i urzędnicy Archiwum Wojska i Muzeum Sił Zbrojnych składają £35 /trzydzieści pięć funtów/ z przeznaczeniem na Pomoc Polakom w Niemczech.

Franciszek S.
ppor. int.

* * *

Załączam Postal Order na sumę £2 /dwa funty/ z przeznaczeniem na Fundusz pomocy dla Polaków zwolnionych z obozów koncentracyjnych w Niemczech.

Anna Rodon, Barcelona

* * *

Zamiast prezentu w dniu imienin dr. I. Szpitzera przesyłają pacjenci sanatorium w Gallowhill kwotę £9 /dziewięć funtów/ na pomoc Polakom w Niemczech.

Z.H.

W załączeniu przesyłam Postal Order na sh. 10 /dziesięć szylingów/ ofiarowany przez Miss Joyce Nicoll z Glasgow na dzieci polskie w Niemczech.

Oficer Op. n/żołn. 7 Komp. Sap.
T.W. ppor.

* * *

W załączeniu przesyłam British Money Order na kwotę £3 /trzy funty/ zebraną samorzutnie przez szeregowych Sam. Dyonu Art. Plot C. w dniu 21.7.45 r.

Suma ta przeznaczona jest na byłych polskich jeńców w obozach niemieckich.

D-ca Sam. Dyonu Artl Plot. C.
/—/ J.M. kpt. art.

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na sh. 7 /siedem szylingów/ na pomoc Polakom w Niemczech. Kwota ta pochodzi ze skonfiskowanego banku "Oko".

J.K.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £49.17.0 /słownie: czterdzieści dziewięć funtów i siedemnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1236.19.9½ /słownie: tysiąc dwieście trzydzieści sześć funtów, dziewietnaście szylingów i dziewięć i pół pensa/.

NA P.C.K.

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam czek na Northern Bank Ltd. A/61224 z dn. 2 b.m. na sumę £25.3.6 oraz Postal Order na sumę sh. 8 tytułem składek na Polski Czerwony Krzyż zebranych na Wystawie Fotograficznej "Through Polish Eyes" w Belfast w lipcu b.r.

Wystawę w Belfast zwiedziło w ciągu 4 tygodni 14.905 osób. Podczas ceremonii otwarcia w dniu 4 b.m. gorące przemówienie na rzecz Polski wygłosił Profesor Savory oraz członek Rządu Północnej Irlandii. Oficjalnym otwierającym wystawę był niżej podpisany. Po otwarciu odbył się recital fortepianowy Henryka Mierowskiego.

Ponieważ wystawa w Belfaście była zapewne śpiewem łabędzim tej imprezy, pragnę przypomnieć kilka szczegółów z jej powstania i działalności. Myśl o wystawie fotograficznej powstała latem 1941. W listopadzie tegoż roku projektodawca został powołany przez D-two I Korpusu W.P. do przygotowania jej. Otwarcie nastąpiło w dniu 6 marca 1942 w National Gallery of Scotland w Edinburgh, pod protektoratem The British Council, który wydatnie przyczynił się do zrealizowania tej imprezy. Następnie wystawa rozpoczęła objazd Wysp Brytyjskich, początkowo z ramienia I Korpusu a następnie pod egidą Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, stale pod protektoratem The British Council.

Ogółem Wystawa gościła w 37 miejscowościach Zjednoczonego Królewstwa. Zwiedziło ją 208.750 osób. Ogólna suma składek na P.C.K. wyniosła sumę £799.16.0. Na wystawie rozdano kilka tysięcy broszur propagandowych o Polsce.

Oto nazwy miejscowości, które gościły Wystawę: Edinburgh, South Shields, Gateshead, Middlesbrough, Darlington, Scarborough, Harrogate, Blackpool, Bradford, Leeds, Liverpool, Manchester, Sheffield, Chester, Lincoln, Nottingham, Derby, Stafford, Wolverhampton, Birmingham, Rugby, Worcester, Malvern, Hereford, Cheltenham, Swindon, Bristol, Bath, Exeter, Torquay, Truro, St. Ives, Penzance, Cardiff, York, Hull, Belfast.

Niżej podpisany spotykał się w swej blisko czteroletniej wędrówce po Wyspach Brytyjskich z tak wieloma dowodami przyjaźni i życzliwości ze strony mieszkańców, iż pragnie przesłać Im Wszystkim — choć w formie tak dla Nich abstrakcyjnej — najserdeczniejsze podziękowanie.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku i poważania.

/—/ Paweł Miller
Organizator Wystawy
"Through Polish Eyes"

NIE ZAPOMINAJ O LOSIE POLAKÓW WYZWOLONYCH W NIEMCZECH

ICH LOS JEST CIĄGLE CIĘŻKI, ICH POTRZEBY OLBRZYMIE

POMÓŻ IM!

APEL O KSIĄŻKI DLA POLAKÓW W NIEMCZECH I EUROPIE ZACHODNIEJ

Światowy Związek Polaków z Zagranicy organizuje akcję wysyłki książek dla Polaków na terenach niemieckich.

Sprawa dostarczenia masom byłych zesłanych i jeńców polskiego słowa pisanego, jakiego pozbawieni byli przez lata niewoli, jest jednym z najważniejszych zagadnień opieki nad nimi. Ponieważ aktualne zapasy książek polskich w Wielkiej Brytanii są ograniczone, a wiele nakładów zostało wogóle wyczerpanych, Światowy Związek Polaków z Zagranicy zwraca się do Polaków w Wielkiej Brytanii z prośbą o ofiarowywanie wszelkiego rodzaju posiadanych książek polskich zarówno z zakresu literatury, jak i z dziedziny spraw politycznych i społecznych. Książki te niezwłocznie będą przekazywane do polskich organów opieki, działających na terenie Niemiec.

Światowy Związek przyjmuje również wszelkie dary pieniężne na zakup książek dla Polaków w Niemczech, w formie Postal Orders lub Money Orders.

Wszelkie przesyłki kierować należy na adres: *World League of Poles Abroad*, 38, *Wilton Crescent, London, S.W.*1.

POSZUKIWANIA

Mjr. kaw. FEDEROWSKI KAZIMIERZ, Oflag VII.A. Murnau, Upper Bavaria, Germany, poszukuje żony HANNY, wywiezionej do obozu Ravensbrück, a następnie do obozu Hinterwick Elisabethenport Hamburg, gdzie przebywała do marca b.r.

MIECZYSŁAW LUBELSKI, Polish Military Camp Northeim /Hanover/, Germany, poszukuje córki Urszuli Podlewskiej i syna Jana.

Miss I. J. C. Tait, 107, Main Street, Biggar, Lanarks., prosi pp. RODZIEWICZ, którzy zamieszkiwali w Biggar, o podanie ich obecnego adresu.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

89-*LETNI MARSZAŁEK PETAIN PRZED SĄDEM*



—Co oskarżony ma na swoją obronę? . . .
—Brak doświadczenia w życiu . . .

JEST POPRAWA . . .

Polak zapytuje Szkota:
—Czy po zmianie rządu, widać w waszym kraju już jakąś zmianę?
—O tak!!! Niech pan patrzy, jak od razu zmieniła się pogoda . . .

JASNY CEL

—Dlaczego pan odmawia awansu na porucznika czasu wojny — zapytuje pewna pani.
—Nie wypada — zwłaszcza w tej chwili . . .
—Właśnie w tej chwili — za rok już nie będą panu potrzebne kupony . . .

ODPOWIEDZIAŁ . . .

—To wasza armia jest rozwiązana — pyta Szkotka jednego z oficerów.
—Dlaczego???
—Ponieważ pan jest po cywilnemu! . . .
—Droga pani, czy każdą kobietę, która zmieni suknię, musi się posądzać, że jest po rozwiązaniu? . . .

Z ŻYCIA WOJSKA

Pewien oficer daje przykład w towarzystwie:
—No niech ktoś zaprzeczy, że w naszym wojsku nie ma demokracji. U nas w pułku jest ksiądz w stopniu kaprala. Jak była procesja, to księdza ubierał sam chorąży, a kaprala to aż pułkownik prowadził pod rękę!

MODNE HASŁO

Wśród rodaków londyńskich, którzy żyli z "prac zleconych" krąży hasło "help yourselves" . . .

MR. CHURCHILL W HYDE PARKU



—Co pan zamierza teraz robić, Sir?
—Słuchać śpiewu łabędzi . . .

PO KLĘSCE KONSERWATYSTÓW



—Ci dwaj posłowie, zdaje się są z partii konserwatywnej? . . .
—Mam też takie wrażenie, ponieważ są bardzo skróceni . . .

ZMARTWIENIE

—Nad czym pan tak duma? — zapytał jeden rodak drugiego.
—Zastanawiam się nad trudnym problemem. Jeśli nas przeniosą do Eskimosów i będziemy zmuszeni mieszkać w domkach ze śniegu, to czy da się tam wprowadzić centralne ogrzewanie, czy też nie? . . .

W KRAJU

Warszawiaka pytał z cicha
Lwowiak: "Co nowego słychać"?
Ten z odpowiedzią nie zwleką
Mówiąc: "Nie można narzekać"!

NA RZĄD LUBELSKI

Tymczasowy rząd —
Oddałbym pod sąd!!

Feniks

RZECZY CIEKAWE

Hannen Swaffer, najstarszy dziennikarz Fleet Street /ulica w Londynie, przy której mieszczą się redakcje głównych dzienników/, zwany także papieżem Fleet Street, opowiedział w *"Daily Heraldzie"* następującą anegdotę: Londyńskie gazety użyczyły gościny rozmaitym pismom drukowanym dla armii ekspedycyjnych. I tak n.p. *"Times"* drukuje dla Amerykanów gazetę *"Star and Stripes"*. Niedawno poważny redaktor *"Times Literary Supplement"* /gazeta literacka wydawana przez *"Times'a"*/ dostał szereg korekt między którymi znalazł odbitkę fotografii ładnej, ale niezbyt ubranej dziewczyny. Zdziwiony zatelefonował do drukarni i spytał o wyjaśnienie. Okazało się, że była to fotografia na stronę tytułową dla *"Star and Stripes"*, ale gdy woźny zgłosił się do redaktora, aby odebrać mylnie doręczoną odbitkę, znalazł ją przybitą do ściany nad biurkiem redaktora.

JAK MAŁY STAŚ WYOBRAŻA SOBIE WIADOMOŚĆ . . .



. . po męczących, całodziennych naradach, Wielka Trójka udała się na spoczynek . . .

PROPOZYCJA CZCIONEK DRUKARSKICH W PRASIE



Wielka Trójka
w latach 1942-44 . . .
Po śmierci
Rosewelta . . .
Po upadku
Churchilla . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

SPIS RZECZY:

WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press. Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.